Miesięcznie 95 groszy
Prenumeratę przyjmuje każda poczta!

egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. **Niedziela, dnia 3 lutego 1935 r.** Nr. 5.



Powrócisz do mnie

Powrócisz do mnie latem, albo wiosną,
Kiedy się w bujnem kwieciu skąpią drzewa,
Kiedy upojną pieśń słowik zaśpiewa,
A świat zanuci dawną pieśń miłosną
Powrócisz do mnie latem, albo wiosną
Pełna otuchy, żądna nowych wrażeń,
Wzbudzisz w mem sercu zatarty świat marzeń
I znów odejdziesz, szczęśliwą, radosną.

„ORD-OM"

Gołaszewo, styczeń 1935 r.

Na fałszywym torze

(Powieść współczesna) 22.

— Ozonicz? zawołał zdumiony Ryszard. — Co za podłe indywiduum! Ależ to on właśnie mnie opowiadał, że jesteś kochanką Pomireckiego! Jak mógł tak intrygować! — Przypomniał sobie rozgoryczenie Ozonicza wskutek postępowania Pomireckiego w ostatnich czasach. Zrozumiał. Książę unikał go, bo ten człowiek wiedział zawiele, bo postępował wedle jego instrukcyj...

Gdy Beata zaczęła opowiadać o swem małżeństwie i strasznym epilogu, Ryszard wtrącił:

— Lecz nie mogę pojąć jednej rzeczy. — Kim może być owa kobieta, tak łudząco podobna do ciebie, że udało się jej wprowadzić w błąd wszystkich, którzy ją znali?

— Jakiś starannie wyszukany, wynajęty sobowtór — —

— Nie, to wykluczone. Musiałby Pomirecki wtajemniczyć w swoją aferę zbyt dużo osób. Zresztą nawet siostra bliźniacza nie może wyglądać identycznie tak samo! Ozonicz rozmawiał z nią, ja i pani Saroni widzieliśmy ją zbliska, cała Warszawa jest przekonana, że to ty jesteś.

— To rzeczywiście ciekawe! Nie, nie wiem... Kryje się za tem jakaś dziwna tajemnica — —

— Wyświetlimy ją, gdy pojedziemy do Warszawy. Atuś, a czy ty wiesz, że będziesz moja? — zawołał w przypływie nagłej radości.

— Skądżeż mam wiedzieć? — zapytała filuternie. Roześmiali się tak głośno i serdecznie, że skierowali na siebie uwagę całej sali.

— Prawda! Miałam jeszcze zapytać cię, skąd do ciebie kochanie to nazwisko Leny Molle?

Lena... Beata przypomniała sobie nagle tę nieszczęsną, wykolejoną istotę. Zaginęła jak meteor i nikt się nią nie interesuje. Czy żyje jeszcze? Ach, prawda! Przecież ma oddać pieniądze pod adresem pozostawionym jej w tragicznym liście jeszcze w Dalmacji...

Opowiedziała Ryszardowi o tym smutnym epizodzie i o swojej misji.

— Nie, Atuś, to niepotrzebne, abyś osobiście zetknęła się z tym potworem. Bezcelowe zresztą i zbyt wstrząsające. W kasie szpitalnej masz zdeponowane pieniądze, które przy tobie znaleziono. Prześlesz je przez bank bez słowa komentarza, a jako nadawcę, podpiszesz Lenę Molle. To wystarczy.

Podporządkowała się jego woli. Przecież tak chce Ryszard, jej pan ukochany! — —

ROZDZIAŁ XXV.

Lecz szczęście czeka...

Roman Pomirecki krążył po zaśnieżonych ulicach bez celu i zastanowienia. Stał się pastwą szarpiącego niepokoju, braku duchowego oparcia o samego siebie. W jego udręczony wizjami przeszłości mózg wpijała się z brutalną świadomością prawda, że jest zbrodniarzem — że zabił własną żonę, ukochaną Beatę. A najgorsze to, że nie ma odwagi ujawnić przed światem tej tajemnicy. Nieprzespane noce, dnie, trawione ustawicznem wyczekiwaniem czegoś, co nadejdzie, bo nadejść musi i przyniesie rozwiązanie jeszcze straszniejsze, jeszcze katastrofalniejsze, jak ta potworna sytuacja — wyryły fatalne piętno na jego wyglądzie. Zbladł, posiwiał, zapadłe oczy lśniły upiornym, niesamowitym blaskiem.

Błądził tak bez celu po ciemnych zakamarkach miasta, kryjąc się jak zbrodzień przed ludźmi, mającymi czyste sumienie, nieobarczone śmiercią bliźniego. Jacy szczęśliwi byli w porównaniu z nim najwięksi nawet nędzarze! Łowił urywki rozmów przechodniów, kalejdoskop oderwanych okruchów jaźni ludzkiej. Dawało mu to chwilowe zapomnienie. A gdy już ulice zupełnie opustoszały, wracał samochodem do Stawnic. Zasiadał do stołu z Karolem Ordą, któremu oddał do dyspozycji całe skrzydło pałacowe. Tam mógł jego upiorny przyjaciel pracować nad swoim wynalazkiem.

Orda wiedział o tajemnicy przyjaciela. Zdawał sobie z tego sprawę, że tylko jego wynalazek może chwilowo ratować sytuację. Ale tylko chwilowo. Bo coś będzie, gdy opinja publiczna naciśnie, gdy znajdą się ciekawi, którzy za wszelką cenę będą się starali zbadać przemianę ufnej, wesołej, serdecznej Beaty w wyniosły, sztywny manekin?

To też Karol Orda przesiadywał po całych dniach w osobnym pokoju z lalką, kontrolując aparaturę, włączając nową instalację, zmieniając sceny dźwiękowe. Jak sęp czuwał, aby tajemnica przyjaciela nie została ujawniona wskutek jego niedokładności.

Och, jakże nienawidził Roman tej lalki, przypominającej mu do złudzenia ubóstwianą, nigdy duchowo nie posiadaną kobietę! Często przenosił tę nienawiść na Ordę i zadręczał go z niepohamowanym sadyzmem. Lecz Karol znosił wybuchy wściekłości przyjaciela z idealną cierpliwością.

Pewnego razu rozegrała się w gabinecie Ordy straszna scena. Wpadł Roman z listem w ręku.

— Masz, czytaj! — krzyknął chrapliwym głosem.

Orda wziął list i zaczął przebiegać wzrokiem spokojnym i obojętnym. Katastrofa... Starał się ukryć pod maską obojętności miotający nim niepokój. List był od matki Beaty.

„Drogie dzieci!

Długo czekałam na zaprosiny, które nie nadchodziły. Nie wiem i nie chcę sobie tłumaczyć Waszego postępowania. Tęsknię jednak za Tobą szalenie, kochana moja Aluś i postanowiłam przyjechać i odwiedzić Was bez względu na to, co sobie o mojej bezceremonjalności pomyślicie. Reszta ustnie.

A więc do zobaczenia — spodziewam się, że zastanę wszystko w porządku.

Wasza matka."

— Co teraz robić? — krzyknął Roman. — Nie, nie znajdę wyjścia z tej piekielnej sytuacji. Dosyć tego! Cała ta komedja na nic się nie zda. Najpierw skończę z nią, a potem z sobą!

I zanim Orda opamiętał się, chwycił Pomirecki w przystępie szaleńczej rozpaczy lalkę i rzucił nią z całej siły o ziemię. Z żalem podniósł Karol swoje dzieło.

— Co uczyniłeś! Mielibyśmy jeszcze kilka dni, a może nawet tygodni do namysłu, jak postąpić...

— Ja wiem, jak mam postąpić! Muszę zrzucić wreszcie z siebie ten nieznośny ciężar!

Podbiegł do aparatu telefonicznego. Chwycił słuchawkę.

— Hallo! Policja! Tu książę Roman Pomirecki. Proszę natychmiast przybyć, gdyż pragnę...

Gwałtownym wysiłkiem wyrwał Karol z rąk Romana słuchawkę. Przyjaciele stoczyli ze sobą istną zapaśniczą walkę. Wreszcie Roman uspokoił się. Jego wynędzniałą twarz stężyła martwota apat[illegible].

— Słuchaj Romanie. Wyjedziesz [illegible]tychmiast. Teściowej napiszesz z d[illegible]gi kartkę w imieniu was obojga, że w[illegible]rócicie za dwa miesiące, że dopiero w[illegible]w-czas powitacie u siebie z przyjemnością kochaną mamę i tak dalej, i tak dalej, jak to się zwykle pisze w takich wypadkach.

— Nie, nie wyjadę. Mam już dosyć błąkania się w samotności, jak bezdomny pies. Raczej napiszę kilka kartek i listów, a wysyłanie powierzę zagranicą tego rodzaju biurom. Nie mógłbym stąd wyjechać — nie ręczę za siebie...

Beznadziejne w swej rozpaczliwości szeregowały się dni w miesiące. Widok lalki mówiącej, poruszającej się i uśmiechającej jak zmarła — Karol zdołał naprawić manekin w ciągu kilku dni — rozdrapywał niezabliźnione rany. Romana doszły nadomiar złego szemrania służby, zaintrygowały dziwnem pożyciem małżonków.

A w służbowej przybudówce istotnie aż kotłowało.

— Słyszane to rzeczy, żeby taka magnatka mieszkała tylko w jednym pokoju i sama go sobie sprzątała? — dziwił się w kuchni służący Franciszek.

— A jak wyjeżdżają do Warszawy i pokojowa uprząta pokoje księżnej, to mówi, że niema tam żadnej roboty — dziwiła się kucharka. — Dawniej pokojowa u nieboszczki musiała ciągiem przesiadywać na pańskich pokojach i gorset zapinać, to włosy trefić, to falbanki prasować. Był huk roboty. Marcysia aże klęła, co wlezie!

— Tak dziwnie żyją ze sobą — mówił drugi lokaj. — Księżna zawsze jada u siebie, a książę z tym gościem, co wygląda jak czarnoksiężnik, siedzą sami w jadalni. — Czy wiecie, że nie wolno mi podnosić stor u księżnej, bo tylko w ciemnościach dobrze się czuje?

Roman wyczuwał ten nastrój służby aż nadto dobrze. Wiecznie narzucała mu się ta myśl upiorna, że prędzej, czy później, prawda musi wyjść na jaw. Lecz co potem?! Na samą myśl, co go czeka, gdy zbrodnia się wykryje, był blisko

obłędu. Bolała go krzywda, uczyniona Jasi. Wiedział, że matka Beaty niepokoi się takiem postępowaniem córki i że nie wie, jak je sobie tłumaczyć. Kilka razy wyjeżdżał na dłuższy czas — lecz przeciwności piętrzyły się stromem wałem, z którego groziło mu śmiertelne runięcie...

Był luty. Śnieg sypał z niewiarogodną zawziętością. Wichura napełniała rozdzierającem wyciem i szatańskim świstem okolicę. Roman wrócił właśnie z wędrówki po okolicznych lasach. Napięcie nerwów spotęgowało się tak przerażająco, że lada chwila groziło załamaniem się całego systemu psychicznego. Nie, nie było wyjścia z tego błędnego koła, z tego labiryntu konsekwencyj, w którym zabłądził z własnej winy i zatruł sobie istnienie...

Samobójstwo? Już niejednokrotnie rozważał tę ewentualność. Był tchórzem — tak jest. Obelżywą tę prawdę ciskał sam sobie w oczy z całą brutalnością na jaką go było stać. Usiadł przed biurkiem. Czuł, że oblewa go zimny pot okrywając siecią obłędnego lęku jego istotę. Ale już dosyć tego. Nie, niema innego wyjścia z tej matni. Trzeba się nareszcie zdecydować.

Stanowczym twardym ruchem otworzył szufladkę biurka i wyjął rewolwer. Głupia sytuacja. Gdyby nie była tak rozpaczliwie smutna, byłaby właściwie przekomiczna w swojej taniej melodramatyczności. No więc już. Koniec. Przycisnął rewolwer do skroni...

Pukanie. Wszedł Franciszek. Roman miał zaledwie czas ukryć rewolwer przed okiem służącego.

— Proszę księcia pana...

— Bałwanie!!! Na złość mi robicie! Czyż nie wiesz, że nie wolno nikomu wchodzić bez mojego wezwania?!

— Bo przyjechała jakaś pani i prosi, żeby ją przyjąć.

— Nie, nie przyjmuję nikogo!

— Ale ta pani mówi, że musi wejść, bo ma dla jaśnie pana ważne wiadomości z jakiegoś dalekiego kraju — jakoś się tam nazywa — Dalimacja, czy jak...

— Z Dalmacji?! A jak ta pani wygląda?

— Nic nie wiem, bo ma taki gruby welon na twarzy, że ino głos słyszałem, taki miły, podobny do głosu naszej panienki...

— Co?! — Roman zbladł jak chusta. Trwoga dławiła go zabójczym kneblem.

— Tak powiedziała, że ma ważne rzeczy do opowiedzenia i nie chce ustąpić.

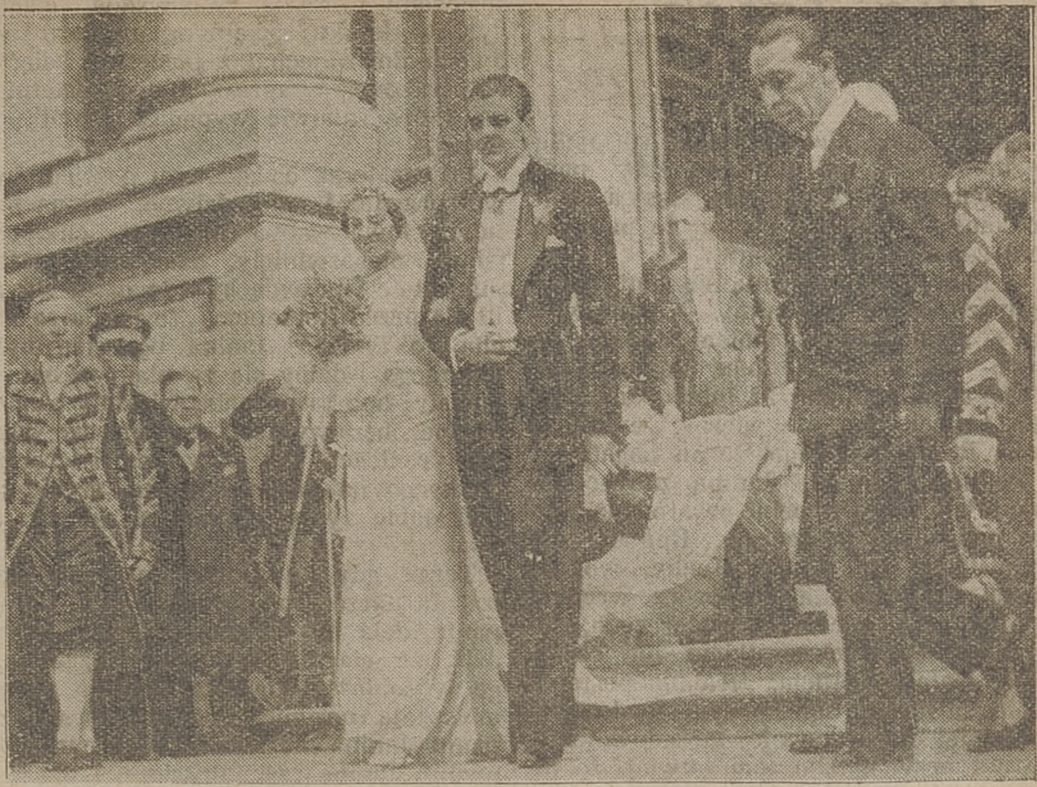
— Proś!... Kto to być może...

Za chwilę weszła szybkim krokiem młoda kobieta w czerni. — Stanęła na środku pokoju. Podeszła jeszcze kilka kroków. Roman zerwał się i wpił oczy w jej twarz, osłonioną woalem.

— Z kim mam przyjemność? — Czy to sam powiedział...

— Romanie! — Odsłoniła woalkę. Beata...

Lęk sparaliżował go śmiertelną niemocą. A może jego obłęd dojrzał już i nasyła mu widma? Czy też... Nie, nie, to przecież niemożliwe!!



Wśród niebywałego przepychu odbył się ślub infantki hiszpańskiej, Beatryczy, z najbogatszym księciem włoskim, Aleksandro Torlonia. Na zdjęciu młoda para w chwili opuszczania katedry po odbytej ceremonji ślubnej.

— Tak Romanie, to ja. Żyję, jak widzisz. Powinnam była może uprzedzić cię listownie, ale bałam się, że wprowadzić to może w nasz dramat życiowy nowe komplikacje rozmaitej natury — może nawet karnej...

— Beato — więc ocalałaś? Jakie to — ogromne szczęście!! — zdołał wyszeptać zbielałemi wargami.

— Tak jest, ocalałam. — Usiadła. W zamęcie tej niesamowitej rzeczywistości zapomniał podać jej krzesło.

Opowiedziała mu w krótkich słowach o swoich przejściach, o tem, jak wskutek utraty pamięci była właściwie umarła dla świata, z czego się utrzymywała.

— A teraz przybyłam do ciebie z prośbą, abyś mi wrócił wolność.

Kości zostały rzucone. W tej chwili dopiero odczuwała, jak bardzo wyczerpała ją ta straszna scena. Przyjrzała się Romanowi. Jak on wygląda! Postarzał się, zmarniał... Poczuła dla niego w głębi serca gorącą litość.

— Beato — nie, to nie może być prawdą... Teraz, gdy cię odzyskałem? Jakżeż mógłbym żyć bez ciebie?

— A jak żyłeś dotychczas? Masz przecież mojego sobowtóra?

Roman spojrzał na nią przerażony.

— Skąd wiesz o tem?

— Mówił mi — Goreyko.

— A więc — tak — więc jednak?... syknął przez zaciśnięte zęby.

— Tak Romanie. Kocham go. Nie wrócę do ciebie, szkoda, żebyś się łudził! Zamieszkałam tutaj przez kilka dni, aby omówić z tobą formalności rozwodowe. Lecz powiedz mi, kto odgrywał przez ten czas moją rolę?

— Hahahaha! Chodź, przekonasz się! — Porwał ją za rękę i poprowadził przez korytarz do pokojów, leżących na końcu skrzydła. Otworzył gwałtownie drzwi. Przed lustrem siedziała na fotelu postać, wydająca się odbiciem Beaty. Ani nie drgnęła na widok wchodzących.

Zbliż się Beato. Widzisz, kto odgrywał twoją rolę? — roześmiał się ironicznie Pomirecki. — Przynajmniej wiem napewno, że była mi wierna!

— Ależ to — lalka! — Beata chwyciła manekin za rękę. Był martwy i zimny.

— Tak jest, lalka. I gdyby nie świadomość, że zabiłem ciebie i że prędzej czy później prawda musi się wyjawić...

— Byłbyś z nią zupełnie szczęśliwy. To się teraz da urzeczywistnić. Romanie, jeszcze raz proszę cię — wróć mi wolność! Nikt się nie dowie, że to nie ja przebywałam przez cały czas w Stawnicach. Przyjechałam za paszportem Leny Molle, — pamiętasz tę małą Wiedenkę w Dalmacji? Pozostanę jeszcze przez kilka dni u ciebie dla zachowania pozorów. A potem odejdę. Zrozum, że tak być musi!

Pomirecki odwrócił głowę. Zdawał sobie sprawę, że Beata ma rację. Dalsze ich pożycie po tem, co przeżyli obydwoje, byłoby wegetacją, pełną udręki i mar przeszłości. Tak jest, lepiej rozstać się, aniżeli dźwigać przez życie ciężar tej strasznej pomyłki, tej potwornej niekonsekwencji, stanowiącej łańcuch udręczeń moralnych dla obydwojga.

— Zgadzam się, Beato. Będziesz wolna. Serdecznie uścisnęli sobie ręce.

KONIEC.

Na łasce

(Powieść) 22)

— Ja!... ja... ależ ja panią okropnie kocham!... ja nie pozwolę żeby pani była smutna! Czy pani jest wesoła, panno Janino? pani się cieszy, że pani się żeni z panem Romanem?

— Pan Roman ze mną się żeni, panie Juljuszu, a nie ja z nim... — poprawiła go z uśmiechem, a potem dodała: — Będę wesoła, jeżeli pan się uspokoi. Niech pan pamięta, że lubię pana bardzo i niech pan nie wierzy, że idę za pana Romana dlatego, że on bogaty...

Po tej rozmowie Janina znowu posmutniała, znowu pełne zwątpienia myśli nawiedzać ją zaczęły. Romana nie było, żeby jej dodać otuchy, wokoło siebie nie widziała nic prócz wrogich spojrzeń i uśmiechów szyderczych, których jej przedewszystkiem nie szczędziły Natalja i Adela. Hrabina postępowała otwarcie: na każdym kroku dawała jej uczuć swoje niezadowolenie, co jej przychodziło tem łatwiej, że teraz nikogo obcego w domu nie było i Janina ciągle musiała być na oczach pani Żarnowieckiej.

Ta ostatnia ostentacyjnie uchylała się teraz od usług swojej wychowanki, w drwiący i dotkliwy sposób, przymawiając jej, że kiedy taki świetny los robi, powinna się więcej szanować.

Janina czuła, że nie wytrzyma długo takiego życia! gdyby mogła mieć nadzieję, że zostanie samą przez zimę w Żarnkach, jak to zwykle bywało! ale pani Żarnowiecka nie wybierała się w tym roku na karnawał, znajdując, że to wydatek zupełnie niepotrzebny, wobec tego ,że Kamilla już ma narzeczonego. Zrobiła się skąpa odkąd się dowiedziała o stanie majątkowym przyszłego zięcia. Ale i ta decyzja, — poświęcenie — jak w duszy pani Żarnowiecka myślała — dla kobiety lubiącej świat i ruch towarzyski w mieście, przyczyniła się do zgorzknienia i tak już doprowadzonej do ostatnich granic cierpliwości hrabiny. Jedyną pociechą, ulgą i wytchnieniem była dla niej rozmowa z Natalją, coraz więcej w łaskach u hrabiny, do tego stopnia, że pobyt jej w Żarnkach miał się przeciągnąć w nieskończoność...

Miła perspektywa dla Janiny.

— Za co ona mnie tak nienawidzi? — pytała się nieraz w duchu, nie znajdując odpowiedzi.

Roman zaprzeczył, wyśmiał jej przypuszczenia, ale czynił to niejasno, żartem, zbywając pół słówkami. Musi się dowiedzieć, musi go spytać całkiem serjo, jaka temu przyczyna! Niech wie przynajmniej czemu jej każe to znosić!

Kilkanaście dni mijało od wyjazdu Romana. Janina, wobec drwiącej hrabiny, wobec słodkiej ale dokuczliwej Natalji, pozbawiona towarzystwa Kamilli zajętej narzeczonym, stawała się coraz bardziej podniecona nerwowo. Jedyna osoba, która zdrową radą służyć jej mogła, szczera, otwarta i życzliwa panna Olimpja, tak była zajęta pakowaniem i przygotowaniami do odjazdu, że Janina nie śmiała jej zaprzątać swojemi osobistemi sprawami. Zresztą, Władysław ciągle był w domku szkolnym, dopiero od dwóch dni odjechał z polecenia księcia do Krakowa, w sprawach tego ostatniego, które załatwić wypadało przed podróżą.

Juljusz teraz codziennym gościem bywał prawie. I rzecz dziwna. Janina polubiła towarzystwo młodego chłopca! Głupi, nierozwinięty, dziecinny, serce miał złote i prawdą było to czem chwalił się przed Romanem, „że jak kogo kocha, to kocha." Janina bóstwem była dla niego i dałby się za nią porąbać w kawały; ona to poznała, widziała te oczy błędne, bez wyrazu, utopione w swoich źrenicach jak oczy psa wiernego, gotowego na każde skinienie czynić co pan sobie życzy i coraz go więcej lubiła.

Teraz, gdy ku zgorszeniu wszystkich została narzeczoną Romana, nikt, nawet pani Adela nie mogła ją przecie posądzić, że ciągnie Juljusza i rozkochuje go w sobie? Coprawda, Natalja nie omieszkała uczynić złośliwej uwagi, że panna Janina ma teraz dwóch narzeczonych... Janina zaśmiała się, ale nie brała tej uwagi na serjo. Przechadzała się z Juljuszem po ogrodzie, chodziła nawet dalej, do lasu, nie widząc, żeby w tem było coś złego. Towarzystwo Juljusza nie przedstawiało dla niej żadnej rozrywki, to prawda, ale też i nie nużyło, bo mogła milczeć, gdy jej się podobało, a on nie przerywał tego milczenia, bo biedak niewiele o czem miał mówić i zwykle tylko czekał zapytania, aby odpowiedzieć.

A jakie były ich rozmowy! Natalja, razem z Adelą miałyby cały tydzień śmiać się z czego, gdyby kiedy ich podsłuchały... Janina, nie mniej nie więcej, tylko udzielała rodzaju poglądowej nauki nierozwiniętemu umysłowo młodzieńcowi. Tłomaczyła mu własności kwiatów i roślin napotykanych po drodze, mówiła o niebie i ziemi, o ludziach i zwierzętach, jak dziecku. A on, do którego nikt nigdy w podobny sposób nie przemawiał, którego sierotę w domu o wiele starszej siostry męczono suchą nauką, bito rózgą za lenistwo, a potem oddano do naukowego zakładu, jako zatwardziałego nieuka i tam znowu rózgami napędzano rozum do głowy, — on patrzał w nią jak w tęczę, pochłaniał słowa z ust jej wychodzące, wysilał się, aby je rozumieć i rzeczywiście w ciasnych jego pojęciach rozwidniać się zaczynało.

— Wie pani! — rzekł raz do Janiny z takim wyrazem jakby conajmniej Amerykę odkrył, — wie pani, że ja okropnie byłem głupi!... Ja chciałem, żeby pani była moją żoną... a jakże to być może, kiedy pani taka mądra! coby pani ze mną robiła!...

Ostatnia ta uwaga ubawiła Janinę wogóle, naiwne nieraz zdania Juljusza miały tę własność, że odrywały jej umysł od trapiących myśli...

XVI.

Piękny dzień wrześniowy miał się ku końcowi, słońce kryło się poza wysokie drzewa parku w Wasilcach, rzucając z pomiędzy gałęzi długie ukośne promienie, które kładły się na trawniku przed tarasem, na którym siedział książę z Romanem.

Gwarzyli swobodnie, paląc papierosy; patrzyli na piękne barwy jesieni roztaczające się w około nich w oświetleniu, liściach drzew i kwiatów.

— Ha, tak! — westchnął Bruno. — Nie długo już zagoszczę między wami! Inny świat, inni ludzie przesuwać się będą przed mojemi oczami, inne myśli napłyną do głowy.

— Szczęśliwy człowieku! co za rozmaitość wrażeń ciebie czeka.

— Szczęśliwy!... wyraz czysto osobisty. Gdybym ciebie posłał na swojem miejscu do antypodów, wątpię czy w obecnej chwili uważałbyś się za szczęśliwego.

— Zapewne! — potwierdził Roman poważnie. — Mojem szczęściem dzisiaj jest wiara w bezinteresowne, nieskazitelne uczucie, ufność niezachwiana w istotę oddaną mi sercem całem...

— Takiego szczęścia pozazdrościć można! — rzekł książę, — tembardziej, że rzadko się ono dziś w świecie spotyka. Potężne, nieokiełznane rozumem namiętności, prowadzą dziś często ludzi na bezdroża. Brak celu, brak wiary, brak i wytrwałości... smutnie kończy się nasze stulecie!

— Cóż chcesz, mój drogi! za jakich parę tysięcy lat znajdzie się taki szperacz starożytności, jakim ty jesteś i będzie c o n a m o r e badał zwyczaje i obyczaje XIX-go stulecia! — zawołał Roman.

— Być może, — rzekł książę z uśmiecham. — Wątpię jednak, czy będzie mocno zbudowany swojemi odkryciami.

— Kto wie? zawsze to co przeszło i minęło lepszemi jest od teraźniejszości.

— Tylko nie prostota! a co mnie najbardziej pociąga u pierwszych ludów, to właśnie prostota. Nie możemy się chwalić, żebyśmy nią dziś grzeszyli.

— Masz słuszność; w prostocie jest mądrość najwyższa, a my dziś uchylamy się od niej, w niedorzecznej obawie, żeby nas za głupców nie wzięto... Jedno tylko dodam...

W tej chwili szmer jakiś usłyszano w przyległym do werandy pokoju i nagle we drzwiach stanął wcale niespodziewany gość, pan Juljusz.

Roman powstał, zdziwiony tą nieoczekiwaną wizytą, ale gdy spojrzał, uderzyła go dziwna zmiana, jaką dostrzegł na twarzy przybyłego. Był blady. — ale bladymi bywają ludzie często i nikogo to nie dziwi; co zastanowiło Romana, to niezwykły wyraz oczu młodzieńca, w których zamiast zwykłej bezmyślnej apatji przebijał rodzaj inteligencji. Śmiało, z odwagą rozpaczy przystąpił do Romana i głosem zdławionym od wzruszenia rzekł niewyraźnie:

— Niech pan zaraz jedzie... założyć tylko świeże konie do mojego powozu... kazałem walić batem, aby prędzej!

— Co to znaczy? — zawołał Roman przerażony, a książę zbliżył się także zaniepokojony.

— Co się stało? — dodał.

— Panna Janina potrzebuje pana!...

— Co! chora może? — krzyknął Roman.

— Ale nie! zdrowa, tylko płacze... słyszałem jak płacze... Pan jej nie da płakać, prawda, panie?

Roman schwycił się za głowę.

— Stało się jakieś nieszczęście... — szepnął. — Proszę cię. Brunonie... Muszę jechać w tej chwili, a sam nie wiem czego się mam spodziewać!... Idę kazać konie założyć... uprzedzić ojca... a ty go wybadaj tymczasem.

— Uspokój się! — mówił książę idąc za nim do drzwi. — Biedak sam nie wie co mówi, przesadza naturalnie...

— Wybadaj go! — dodał Roman i już zniknął za drzwiami.

Książę spełnił prośbę przyjaciela i rozpoczął wypytywać Juljusza.

Pokazało się, że ten ostatni nie wiele mógł go objaśnić. Nocował dziś w Żarnkach, co mu się często zdarzało i rano, nim jeszcze wyszedł ze swego pokoju słyszał groźny głos pani Żarnowieckiej, a płasz Janiny, „aż serce krajało". Pomyślał sobie wtedy, że krzywdę jej robią i że na to innej rady niema, tylko powiedzieć Romanowi, żeby ją zabrał do Wasilec... Wydawało się to biedakowi zupełnie naturalnem... a książę aż uśmiechnąć się musiał z naiwności tego pomysłu.

— Nie stało się żadne nieszczęście, jak się tego obawiałeś, — rzekł do Romana, gdy ten wrócił, z gorączkowym pośpiechem ubrany już do drogi. — Mówiłem, że to przesada, zbytek gorliwości dobrego, ale mało inteligentnego chłopca... Słyszał pannę Janinę płaczącą... i oszalał.

— Ona nie powinna płakać! — rzucił przez zaciśnięte zęby Roman z ponurem wejrzeniem.

— To znowu co innego! Ale w każdym razie unosić ci się nie radzę.

— Książę ma słuszność, — odezwał się głos pana Bronimirskiego, który przytoczył się tutaj z krzesłem. — Moja kuzynka, o ile się przekonałem, nigdy nie żywiła czułych uczuć dla biednej swej wychowanki... Może wypadnie ślub przyszyć... ale pamiętaj Romku — nie unoś się, bądź grzeczny, bo porywczość nigdy nikomu na dobre nie wyszła. Ale powiedzcie mi, co właściwie zaszło?

Juljusz chciał znowu rozpoczynać opowiadanie, ale Roman mu przerwał, żegnając się z ojcem i księciem.

— Brunon ojcu opowie, — rzekł — ja jechać muszę. A pan, czy zostaje?

— Ja? — zawołał przerażony Juljusz. — Jakże ja mogę?... Boże! jak Aleksander się dowie, żem mu tak konie zhasał!... — dodał z nagłą rozpaczą.

— Bądź pan spokojny. Konie wypoczną i wrócą już do Żarnek. Pański szwagier nie dowie się nawet, że one do Wasilec chodziły.

— Doprawdy? nie dowie się! Ach! jakiś pan dobry!...

Ujął rękę Romana i potrząsnął nią silnie, a oczy mu zaszły mgłą rozczulenia.

— Dziwny chłopak! — rzekł książę do pana Bronimirskiego, gdy tamci odjechali, — dobre serce... szkoda, że taki głupi!

— Głupi ci, co nie wykorzystali zalet tego serca i nierozsądnem wychowaniem przytłumiali inteligencję, zamiast ją rozwijać zapomocą łagodnego postępowania...



Mimo ciężkich chmur, jakie zawisły nad horyzontem abisyńskiem, cesarz Selassie I dokonał w towarzystwie następcy tronu Asfa Woosana uroczystego otwarcia nowego parlamentu w swej stolicy Addis Abeba.

Czwórka rączych koni Romana wczesnym rankiem dowiozła ich do Żarnek.

Wszyscy w domu jeszcze spali; służba tylko już wstała. Roman, w przewidywaniu tego wypadku nie kazał zajeżdżać przed ganek, tylko wysiadł wraz z Juljuszem przed bramą i pieszo podążył do pałacu. Starego Łukasza, który wyszedł na ich spotkanie, zapytał wprost o Janinę... Czekała go okrutna niespodzianka...

— Panienka zdrowa... — odrzekł z pewnem zakłopotaniem stary sługa — ale już od wczoraj jest u panny Olimpji.

Roman nie pytał o więcej. Głosem, który usiłował być spokojnym, poradził Juljuszowi, żeby poszedł się położyć spać, a sam skierował się w dalsze ulice parku.

Chodził ze spuszczoną głową, bez wytchnienia, starając się opanować wzburzenie, zebrać myśli. Minęło sporo czasu: Roman spojrzał na zegarek. Była już blisko ósma. Usiadł na ławce i zagłębił ręce we włosy, odrzucając kapelusz.

Ma się widzieć z Janiną, musi się z nią widzieć! z Janiną, swoją narzeczoną, którą jego ciotka wygryzła ze swego domu... Że tak było, nie wątpił ani chwili! Jakiem czołem stanie przed nią? jak potrafi usprawiedliwić ciotkę?

Ale czy naprawdę pani Żarnowiecka temu winna?... Do takiej zaciętości, żeby postępowaniem swojem zmusić kogoś, aby opuścił dom, gdzie się wychowywał, dom prawie własny — bo biedna sierota innego nie miała, — trzeba było ważnych pobudek, których hrabina przecie nie miała! Janina — znał ją dobrze — nie mogła nic takiego uczynić, coby zasłużyło na podobne postępowanie; hrabina zaś, była przykra, gderliwa, samolubna, rozgoryczona wskutek zawiedzionych nadziei, ale wszystko to nie wystarczało na wytłomaczenie podobnego postępowania... Powód był inny i Roman wiedział komu ma zawdzięczać cierpienie, które mu serce targało w tej chwili... Była to robota zazdrosnej i mściwej kobiety obrażonej w swojej miłości własnej. Teraz, przypomniał sobie Roman rozmaite szczegóły, na które żadnej uwagi nie zwracał w swoim czasie. Przypominał sobie słodką zalotność, niedopowiadane słowa, nagłe zmiany humoru pani Natalji, jej uszczypliwość względem Janiny i szepty z hrabiną...

Zraziłem ją moją oziębłością... — myślał żałując po niewczasie, że nie grał lepiej komedji. Kobieta zawiedziona w rachubach, w miłości własnej, gotową bywa na wszystko... I pomyśleć! — dodał półgłosem, powstając szybkim ruchem z ławki, jakby podrzucony obcą siłą — pomyśleć, że o mało nie nazwałem jej moją żoną!...

Wstrząsnął się i chcąc dać inny obrót myślom, spojrzał znowu na zegarek. Dochodziła dziewiąta.

Powoli, ociągając się, skierował się ku szkolnemu domkowi. Dziwna, niewytłomaczona obawa nim miotała; czuł się onieśmielony, jak dziecko.

— Biedactwo moje ukochane! czy będę kiedy w stanie nagrodzić ci to wszystko co znosisz dla i przeze mnie? — myślał rozrzewniony.

Po raz pierwszy od chwili, gdy ta awantura spadła na niego, myśli jego zwróciły się na osobiste losy; dotychczas zajęty był jedynie rozpamiętywaniem krzywdy jaka się stała sierocie, wynajdywaniem przyczyny i sposobów, aby sprawiedliwości stało się zadość. Teraz, gdy już się czuł bliskim jej obecności, serce mu wezbrało miłością bez granic... Widział ją smutną, we łzach, wyciągającą ręce do niego, jako do jedynej swojej podpory i obrony... czytał w tych smutnych oczach morze uczucia, ufności... Och! jakimże potężnym uści-

skiem przygarnie tę drogą istotę do swej męskiej piersi, gdy mu już nareszcie będzie wolno nazwać ją swoją!

Na podwórzu szkolnego domku ruch panował niezwykły. Pakowano na wóz meble, których panna Olimpja dość posiadała, jako pamiątkę lepszych czasów; resztę obijano słomą i płótnem. Przez otwarte okna szkolnej izby dolatywały głosy dzieci, które z nową już nauczycielką lekcję powtarzały.

Gdy Roman ukazał się w furtce, właśnie panna Olimpja, w dużym fartuchu i chustce na głowie zawiązanej, aby włosy uchronić od pyłu i kurzu, niosła w obu rękach książki, które składać miała w pace, przygotowanej na podwórzu. Kiedy ujrzała wchodzącego, książki posypały się na ziemię, a ona nie zważając na to, postąpiła ku niemu.

— Byłam pewną, że pan przyjdzie, — rzekła witając go. — Nie pojmuję tylko gdzie pana przyjmę... W pokojach już pustki... a właściwie nie do mnie już one należą. Ot!... proszę za mną!

Skierowała się do ogródka, przestępując słomę, deski i rozmaite przedmioty zagradzające drogę.

— Panna Janina... — zaczął Roman.

— Niech pan usiądzie pierwej... — rzekła uprzejmie, ukazując mu ławeczkę, na której sama także miejsce zabrała.

— Panna Janina... — zaczął znowu, nie patrząc na pannę Kręcką, ze wzrokiem uparcie zwróconym na pęki astr i maku rosnących na trawniku.

— Panna Janina jest u mnie, — skończyła panna Olimpja. — Domyślała się, że pan dziś zapewne nadjedzie... bo musiała dojść do pana wiadomość o tem co zaszło w pałacu?... Prosiła mnie, żebym pana przyjęła i pomówiła.

— Więc nie zobaczę panny Janiny?

Panna Olimpja smutnie pokiwała głową.

— Bardzo mi żal, że muszę pana zmartwić, — rzekła. — Wogóle przypadła mi w udziale nader nieprzyjemna misja... Dziś odjeżdżamy do Lwowa...

Mówiła smutnie, zwolna, jakby się zmuszając do tego, bała się spojrzeć mu w oczy.

Ale Roman był zupełnie, całkowicie spokojny. Na bladej jego twarzy nie widziało się nic prócz smutku wielkiego, tylko głos był zmieniony, nienaturalny, grobowy, jakby nie jego.

— Dziś panie odjeżdżają... — powtórzył. — Konie moje na usługi pani, o której pani rozkaże?... Nic więcej panna Janina nie miała mi do polecenia?

Biedna panna Olimpja zacisnęła ręce aż zatrzeszczały i westchnęła głęboko.

— Owszem... — rzekła z wysiłkiem i zamilkła.

Roman czekał. Oparł głowę na ręku i patrzył ciągle na astry i malwy. Lekki wietrzyk poruszał główkami kwiatów, a one się kiwały, jakby potakując...

— Panna Janina, — rzekła wkońcu Olimpja głosem jakby nieśmiałym, — nie może widzieć się z panem... Prosiła, żeby pan nie szukał jej... Prosiła... żeby pan nie miał jej za złe, że unikać paną musi... że... zwraca panu słowo... — mięszała się biedna, kołysząc się machinalnie na ławce i mnąc w rękach fartuch.



W St. Moritz kelnerzy obsługują gości na łyżwach. Wymaga to dużej wprawy z jednej i z drugiej strony.

Straszny, nieubłagany bolesny cios spadł na duszę Romana, aż drgnęła ona, jakby wyskoczyć z niego chciała...

— Och! — krzyknął, z mocą unosząc się z miejsca jak iskrą elektryczną tknięty.

— Tak! — dodała Olimpja śmielej tym razem, — inaczej być nie może! — dodała stanowczo.

— Pozwoli pani, że i mnie wolno decydować w tym wypadku! — zawołał z goryczą.

Panna Olimpja zamilkła na chwilę.

— Pan nie wie, co zaszło w pałacu? — rzekła po chwili wahania.

— Nie! — brzmiała krótka odpowiedź.

Panna Olimpja znowu wahała się nieco, nareszcie westchnąwszy głęboko:

— Wobec tego co się stało, — rzekła — wobec gwałtownego przewrotu jaki nastąpił w uczuciach i zamiarach biednej Janiny i wobec pańskiej boleści, muszę niestety okazać się niewdzięczną tej, która była przez czas jakiś moją chlebodawczynią i opowiedzieć panu, czego mimowolnie byłam świadkiem, wybrawszy bardzo złą chwilę na złożenie hrabinie wizyty pożegnalnej. W mojej obecności, bez żadnych względów, bez ceremonji, obrzucono ją najokropniejszemi wymówkami..... nazwano intrygantką, która odciągnęła pana od panny Kamilli, pomimo, że wiedziała o postanowionem małżeństwie pana z kuzynką, co jej nie przeszkadzało kokietować odrazu pana Juljusza, księcia Brunona i... mego siostrzeńca... Nie będę panu opisywać tonu ani wyrazów bezwzględnych hrabiny...

— Dość... dość!... — przerwał Roman takim głosem, jakby się dusił...

— Niech mi pan daruje! — dodała łagodnie Olimpja. — Musiałam dotknąć tych szczegółów, choć Janina błagała mnie, żebym panu nic nie mówiła... Musiałam choć w części przedstawić panu jakiej krzywdy doznała pana narzeczona, a to w tym celu, żebyś pan zrozumiał, że Janina inaczej postąpić nie może. Jedyną dla niej rehabilitacją będzie życie, jakie teraz rozpocznie się dla niej... życie wśród pracy, lub zapomnienia. Może wtedy słuszność jej przyznają; może zmienią zdanie... w każdym razie innej rady niema.

On milczał głęboko i posępnie. Cios był nadto gwałtowny, spadł na niego nieprzygotowanie... Myśli się mąciły; wiedział tylko jedno: groziła mu utrata tego co posiadał najdroższego na ziemi, i wiedział, że tego sobie wydrzeć nie pozwoli.

— Niech pani zechce powtórzyć pannie Janinie, — rzekł wkońcu, — że o takiej decyzji słyszeć nie chcę... Dziś, czy jutro, czy za lat dziesięć... Kiedy mi pozwoli... stanę przed nią upomnieć się o moje prawa... Narazie, szanuję jej rozkaz i odchodzę.

Odszedł zgnębiony, pochylony pod brzemieniem wyroku, ale z silną wolą, z postanowieniem wytrwania.

Co miał teraz robić z sobą? Odjechać? Ależ obiecał pannie Olimpji konie swoje, więc czekać musi do wieczora, dopóki konie ze stacji kolei nie wrócą. Iść do pałacu? Nie, niepodobna! niepodobna mu będzie zimną krew zachować po tem co się dowiedział. Ciotce winien okazać pewne względy, zachować choć pozór dawnego stosunku... czuł, że dzisiaj nie miałby na to siły. Wolał nie widzieć się z nią wcale, a pragnął zapomnieć o jej istnieniu. Kamilli tylko było mu żal...

Słońce dopiekać zaczynało. Roman nie miał nic w ustach od wczoraj; opanowywało go znużenie. Usiadł na pierwszej napotkanej ławce w cieniu drzew, oparł głowę o pień drzewa i siedział tak bez ruchu, bez myśli, obezwładniony.

Po jakiejś chwili kroki ozwały się w pobliżu. Przed nim stanął chłopak w liberji domu.

— Ja jaśnie pana szukam po całym ogrodzie... — rzekł. — Pani hrabina kazała prosić jaśnie pana do pałacu.

Niemile zbudzony tem poselstwem, Roman wzburzył się cały.

— Powiedz pani hrabinie, że przyjść nie mogę! — zawołał gniewnie. — Głowa mnie boli... — dodał spokojniej nieco.

Chłopak zabierał się do odejścia.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści“ ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

MATKA BOSKA GROMNICZNA

Cicho...
W głuchej, zczerniałej nocy godzinie,
Z gromnicą złotą, w liljowej dłoni,
Zjawa... postać nieziemska płynie,
W gwiazd jasnych promiennej pogoni.
Cisza...
Śpią rzędem chaty wtulone w mroki,
Skwieciły szrony im małe szyby,
I w ich to progi światła potoki
Gromnica wlewa, jaśniąc sadyby.
Cicho...
Biała Madonna z świecą zgaszoną,
Już chaty opuszcza i w stronę gwiazd
Po mlecznej drodze, z twarzą wzruszoną,
Odchodzi... dola wraz z Nią zszarzałych mas.

„Kalina.“

HALLO „HERSZT“

W redakcji leżą listy dla Pana, więc prosimy o przesłanie adresu.

APEL

„Kochana Pani Zosiu! Również i ja pragnę należeć do rodziny „Krainy szczerości“ i proszę o przyjęcie mnie w poczet jej sympatyków. Przybyłem niedawno do mniejszego miasta powiatowego i mimo, że czas mój wypełniony jest pracą, odczuwam brak towarzystwa. Pragnę więc za pomocą „Krainy“ poznać sympatyczną czytelniczkę „Moich Powieści“, by wymianą korespondencji wypełnić ten brak. Jestem samodzielnym kupcem, młodym, mówią, że dość przystojnym. Może znajdzie się która z Czytelniczek tego sympatycznego pisma, która napisze do mnie pierwsza miły liścik. Czekać będę z utęsknieniem.“

„Kupiec.“

ADRES!

„Eddi Polo“. Do rozbrajającego i wylanego liściku zapomniał Pan dołączyć adresu. Skoro więc się Pan o tem dowie, niech jak najprędzej przesyła, bo myślę, że moje „Córeczki“, tak samo jak ja, będą chciały otrzymywać wesołe liściki od Pana.

ŚLICZNE PA! DLA „WASSERPOLAKA“

„Perełka“ przesyła śliczne pa! „Wasserpolakowi“ i donosi, że nie nudzi się i jest wesoła, ale pomimo to chciałaby nawiązać korespondencję z jakimś miłym i wesołym Czytelnikiem. Więc napiszcie!

APEL Z NAD BRZEGÓW MORZA

„Sobowtór Ramona“ i „Blondyn z Gdyni.“ Dwaj młodzi Panowie przesłali mi z nad brzegów morza miły list, w którym wyrażają chęć nawiązania korespondencji z mojemi „Córeczkami“. Napiszcie więc Drogie Dziewczynki do tych Sympatycznych Panów, a sprawicie im niewątpliwie radość.

I NA PANA PRZYSZŁA KOLEJ...

„Pell.“ Miły „Pellu“, list do „Dzidzi“ wysłałam, a „Ola z wesołej dwójki“ nie przesłała nam jeszcze adresu. Nie zapomniałam również o Panu. Tylko jeden list za drugim otrzymywał odpowiedź, a że było ich bardzo dużo, dopiero teraz przyszła kolej na Pana. Najlepiej do „Pieszczotki“ i „Wali z nad Drwęcy“ niech Pan napisze pierwszy, adresy ich posiadam i listy chętnie im prześlę.

TAKICH PSEUDONIMÓW JESZCZE NIE MIELIŚMY... TERAZ MAMY

„Szmul i Mojszek.“ Musieli Panowie być w nielada nastroju wesołości, skoro, aż taki wykombinowali pseudonim. Mniejsze jednak z tem! Do „Krainy“ przyjmuję Panów z radością i polecam pamięci mych smutnych i wesołych córeczek. Wierszyk bajeczny, jeżeli chodzi o humor, ale nie zamieszczam go ze względu na szczupłe ramy „Krainy“ i zaległą korespondencję. Sądzę zresztą, że mój apel również odniesie skutek. Żegnam i przesyłam pozdrowienia!

PRZEMAWIA PARYŻ

„Lu“ przyjechała z Paryża do Polski. Smutno jej trochę, bo brak jej odpowiedniego towarzystwa. Chciałabym nawiązać korespondencję z Sympatykiem „Krainy“. Zdradzę Wam dla zachęty, Drodzy Panowie, że „Lu“ jest sobowtórem Jadwigi Smosarskiej. Który więc z Was rozproszy monotonję życia samotnej Paryżance?

ZAŁATWIONE!

„Kwiatek Leśny“ i „Grzeczne Bebi“. Sprawa pseudonimu załatwiona. Listy jeszcze nie nadeszły, ale jak tylko który nadejdzie, prześlę natychmiast. Przesyłam Drogim „Córeczkom“ dużo pozdrowień i uścisków.

„HALSZKA“ I „JADZIENKA“ NAWIĄŻĄ SZCZERĄ KORESPONDENCJĘ!

„Halszka i Jadzieńka.“ Ponieważ mam wielkie zaległości korespondencyjne, nie daję przemiłego listu Pań do druku, jednak do „Krainy“ przyjmuję z radością; również apeluję do Czytelników „M. P.“, by nawiązali korespondencję z bardzo miłemi i kulturalnemi Sympatyczkami „Krainy.“

(Proszę „Halszkę“ i „Jadzieńkę“ o adres!)

CHYBA WAS TO POCIĄGNIE?

„Złoty Sokół“. Drogi Panie! Do „Krainy“ przyjmuję Pana chętnie, lecz nie rozumiem nieśmiałości. To niemożliwe, by autor tak miłego, pełnego brawury listu, miał być nieodważnym. Zdaje się, że milej Panu otrzymywać listy niż pisać? Mniejsze z tem! Robię co do mnie należy i apeluję do miłych panienek o liściki dla „Złotego Sokoła“, który na wszystkie da słodkie, jak cukierek odpowiedzi. Chyba Was to pociągnie?

ABY NIE BYŁO ŻALU...

„Wierna Jaskółeczka“. W tych dniach wysłałam do Pani dwa listy. Zapewnie doszły do celu?

Za życzenia serdecznie dziękuję. Daję dzisiaj tak krótkie odpowiedzi, gdyż pragnę załatwić większą ilość listów, aby nie było niepotrzebnych żali do mnie, za zbyt długie milczenie. Na zakończenie przesyłam moc pozdrowień i uścisków.

„Wierna Jaskółeczka“ przesyła pozdrowienia „Divesowi.“

ŻADNEGO LISTU NIE POMIJAM...

„Boruszon z pod ciemnej gwiazdy.“ Żadnego listu nie pomijam nigdy, to też i Pan nareszcie doczekał się kolei, chociaż tyle tygodni leżał nieporuszony w teczce redakcyjnej.

Z przyjemnością przyjmuję Pana do „Rodzinki“ i przedstawiam jej zrzeszonym członkom nowego Sympatyka, Pomorzanina, ciemnoblondyna o niebieskich oczach, mieszkańca wsi, który skarży się na brak odpowiedniego towarzystwa. Która z Was napisze do „Boruszona“?

ODPOWIEDŹ NA PIĘKNY LIST

„Mimoza“. Nie, list Pani nie był nudny. Przeciwnie! Pełen uczucia i nieokreślonego uroku, takie na mnie zrobił wrażenie, że proszę o częste przesyłanie podobnych, choćby najdłuższych listów. Przeczytam je po raz drugi, gdy będę zmęczona i smutna.

Równocześnie szczerze życzę i pragnę, by napisał do Pani ktoś, „o duszy jak zorza poranna, w której świeciłyby ideały piękna, dobra i prawdy...“

UŚMIECHNIJ SIĘ!

„Ruta.“ Nareszcie doczekał się liścik Pani odpowiedzi. Szczerze współczuję Pani w smutkach i zawodach. Jednakże kogo one omijają? Wszystkich odwiedzają i gnębią. Sztuka stawić im czoło. Zachęcam jednak Panią do walki i wytrwałości. Niech Pani pamięta, że zło zawsze mija. Jak cień, długie lata wlecze się za człowiekiem, ale mija.

Pragnie Pani korespondować z miłym Czytelnikiem „M. P.“? Sądzę, że ktoś napisze. A może Pani, by pierwsza napisała do kogoś, wybór w „Krainie“ tak wielki.

HUMOR W „KRAINIE“ MILE WIDZIANY

„Mickey - Mouse.“ Liściki w rodzaju Pana czytam zawsze z największą satysfakcją, z trzech ważnych powodów: primo: że napisany czysto i czytelnie, secundo: miło i prosto, tertio: dyktowany zdrowym humorem i życzliwem sercem. Adres oczywiście mi Pan nadeśle, bo liściki napewno licznie wpłyną, gdy Sympatyczki „Krainy“ przeczytają urywek z listu Pana do mnie:

„Każdy przeciętny, szary człowiek, płacący lojalnie podatki i błogosławiący kryzys, miewa od czasu do czasu różne wybryki. Jedni defraudują, drudzy się żenią, a ja poprostu piszę listy. Smutny ten fakt stanie się jednakże mniej bolesnym, po uroczystem z mej strony zapewnieniu, że: nie napiszę żadnego wiersza i nie zaproszę Łask. Pani na wycieczkę kajakową we dwoje. A teraz do sprawy. Chodzi mi oczywiście o przyjęcie do „Krainy Szczerości“ nie tyle z nadmiaru szczerości, ile dla znalezienia osoby, któraby chciała nawiązać listowną znajomość z moją marną osobą. Jeżeli więc Łaskawa Pani uwzględni moją pokorną prośbę, życzenie to ziści się niebawem. Szczegółów o sobie nie podaję, ktoby jednak koniecznie chciał takowe (sic!) poznać, może je otrzymać w liście. Pisać do mnie mogą dosłownie wszyscy: płeć, stan, zawód, kolor — obojętne, jedynie wiek winien znajdować się w granicach od lat 5 do 90-ciu. Czekam więc przychylnej odpowiedzi, a narazie przesyłam śliczne ukłony „Rodzince“ i całuję rączki Łaskawej Pani (to ostatnie w astralu, bo poczta dotychczas podobnych zleceń nie przyjmuje).

Mickey - Mouse.“

INTERESUJĄCA KORESPONDENCJA

„Zorza Polarna.“ W poczet członków naszej „Rodziny“ zaliczam Panią z największą chęcią. A oto wyjątek z listu „Zorzy Polarnej“:

„Jestem 22-letnią blondynką o niebieskich oczach, wzrostu średniego. Kocham wszystko i wszystkich, którzy na to zasługują. Jestem ani wesołą, ani powabną, lecz — ot, taką sobie całkiem poważną dziewczyną. Mieszkam na Pomorzu. Za pośrednictwem „Krainy“ pragnęłabym poznać drogą korespondencyjną jakiegoś miłego Czytelnika, z którym mogłabym listownie pogawędzić na rozmaite tematy. Odpiszę natychmiast.“

RADZĘ INACZEJ

„Janika“. Droga Dziewczynko! Do „Krainy“ przyjęłam Cię z miłą chęcią, to mój bardzo miły obowiązek, no i wdzięczny.

Najlepiej będzie, gdy „Janika“ prześle dla wymienionych osób liściki do redakcji. Posiadam ich adresy, więc bardzo chętnie im przekażę. Zgoda? Jeżeli tak, serdecznie dziękuję za pozdrowienia, ściskam i — czekam na wiadomości.

APEL DO P. „WA-PA“

„Knir Zsuetam.“ Listu Pana nie oddaję do druku, bo jest długi, a miejsca w „Krainie“ mało. Apeluję jednak do Pani „Wa-Pa“, by zechciała napisać do Pana kilka słów. Sądzę, że apel nie przeminie bez echa i będzie Pan zadowolony. Serdecznie pozdrawiam!

ECHO Z CICHEJ I SMUTNEJ PRZESTRZENI

„Violetta.“ Inteligentna, młoda panieneczka mieszka zdala od miasta, więc smutno jej i przykro. Pomyślcie o Niej Drodzy Sympatycy i wnieście trochę miłych wrażeń w życie biednej „siostrzyczki“. (Proszę o adres.).

I „NOWY ROK“ W „KRAINIE“

„Rok 1935.“ Dziękuję za fotografję. Jestem dumna z tak miłej i ładnej członkini naszej „Rodzinki.“ Liściki, jak tylko nadejdą, (bo napewno ktoś zainteresuje się „Nowym Rokiem“) prześlę natychmiast. Dziękuję za życzenia w imieniu wszystkich Czytelników.

HALLO HANIU!

„Hania.“ List do „Sikoreczki“ wysłałam. Dawno Hania nie pisała. Czy wkrótce otrzymam wiadomości?

GWIAZDECZKA... LEŚNA I... POETYCZNA

„Samotna Gwiazdeczka.“ Sympatyczna, 20-letnia leśniczanka stwarza cudowne, czytelne literki i marzy, w liście pytając:

„Czy wychyli się z za chmur jaśniejący księżyc i rozproszy przerażające ciemności, otaczające osamotnioną gwiazdeczkę? Tak pragnęłabym snuć złotą nić szczerej przyjaźni...“

CHCEMY WAS POCIESZYĆ

„Niezapominajka“ i „Haneczka.“ Bardzo jestem Kochanej „Niezapominajce“ wdzięczna, za interesujący opis rodzinnych stron. Żal mi was miłe Dziewczynki, że mieszkacie wśród cudzoziemców. Jest jednak na to rada. Prześlijcie swoje adresy, a napewno Sympatycy „Krainy“ napiszą Wam serdeczne listy. Dziękuję więc za fotografję, za pozdrowienia i czekam... czekam na adresy. Jeszcze jedno: możeby „Niezapominajka“ zmieniła pseudonim, gdyż mamy już w „Krainie“ jedną?

CIEKAWA JESTEM TEGO NOWEGO PSEUDONIMU

P. Henryk K. Nie wiem, czy się śmiać, czy gniewać... Najlepiej poproszę, by Pan wybrał sobie jeden pseudonim, tak ładny jak poprzednie, ale jeden, raz na zawsze. Zgoda? Bo... będzie reprymenda!

Za życzenia, takie szczere i ujmujące, dziękuję z głębi serca. Radzę Panu pisać wierszyki krótsze i przesyłać Wujkowi Januszowi do oceny. Sprawa będzie zawsze prędzej załatwiona i przyniesie Panu całkowite zadowolenie. Ciekawa jestem tego nowego pseudonimu!

BARDZO, BARDZO DZIĘKUJĘ

„Złoteńko“. Fotografja zachwycająca. Maleńka, a tyle mówi, tyle wzruszeń wywołuje i tyle wspomnień nasuwa. Bardzo byłabym wdzięczną, gdyby Pani więcej przesłała mi zdjęć. Sama jestem zapaloną fotoamatorką, więc ogromnie mnie Pani zainteresowała i ujęła upominkiem. Myślę często o Pani i codzień spoglądam na fotografje.

Apeluję w imieniu Pani do Czytelników o liściki i żegnam serdecznemi pozdrowieniami.

SŁUCHAJCIE!

„Nicpoń.“ „Nadchodzi rok nowy. — Z nowym rokiem chciałbym rozpocząć nowe życie. Więc biorę mą laseczkę i wybieram się w drogę. Trzej Królowie do Betleem — a ja do Żnina, by zapukać do drzwi Pani Zosi i prosić grzecznie o przyjęcie mnie do grona Sympatyków „Krainy Szczerości“. Czy można?“ — pyta w liście p. „Nicpoń“, a oto moja odpowiedź:

— Ależ proszę! Witaj miły „Nicponiu“!... Skądże taki pseudonim, przy tak rozbrajającym liście? Wyjaśniej coprędzej, bo cała „Kraina“ chyba zaabsorbowana. A może to dobre? Kto wie, czy to nie wpłynie ogromnie na liczbę listów. Zobaczymy!

POZDROWIENIA

„Pieszczotka.“ Dziękuję za życzenia świąteczne i przekazuję część pozdrowień dla „siostrzyczek“, „braciszków“ i osobną dla „Słoneczka“. Czekam na długi list!

NAPISZCIE!

„Augustowianka.“ Najdroższa! Nie od szczęścia zależy odpowiedź na liściki, lecz od kolei. List są załatwiane stopniowo, jeden po drugim. Przyznam słuszność Pani, że doprowadza to często do niecierpliwości, ale trudno, nie moja to wina. Listów leży cały stos, a ramy „Krainy“ takie przecież szczupłe. Zresztą i Pani doczekała się odpowiedzi. Pragnę więc, by wszystko nas było Pani dobrze i apeluję do Sympatycznych Panów, aby napisali wkrótce listy i nadesłali na moje ręce dla „Augustowianki.“

Na zakończenie serdecznie dziękuję za zaproszenie. Jest Pani rozbrajająca! W nagrodę przyrzekam odwiedzić Panią, oczywiście wtedy, gdy zbłądzę w okolicę Augustowa. Łączę moc uścisków, a za zdjęcie osobno dziękuję.

AMATORKA PODRÓŻY

„Nenufar.“ Adoptacja załatwiona. Mój Boże, takie miłe stworzenie i ma jeszcze wątpliwości.

Chętnie apeluję do „Leta“, by podzielił się z Panią wrażeniami z podróży, gdyż jest Pani wielką miłośniczką przyrody i marzy o zwiedzeniu świata, a choćby kraju. A możeby już teraz ktoś opisał swoje wędrówki po świecie i przesłał na moje ręce dla „Nenufara“?

DZIĘKUJEMY!

„Łódka z nad morza“ przesyła dla mnie, Czytelniczek i Czytelników moc pozdrowień. Ślicznie dziękujemy!

Do wspomnianych Panów radzę sympatycznej „Łodce“ napisać samej i listy przesłać do redakcji, a ja przekażę je następnie dalej, gdyż posiadam adresy. Będzie to najlepsze załatwienie sprawy, i całkiem „correct“. Czy zgoda? Jeżeli tak — czekam na przesyłkę.

UWAGA!

„Anglik 27.“ Jest Pan bardzo interesujący. Wcale w to nie wątpię, że Sympatyczki „Krainy“ prześlą liściki dla Pana. Przyrzekam je natychmiast doręczyć. Dziękuję za pozdrowienia w imieniu wszystkich Czytelników i przesyłam taką samą ilość.

GDZIE „SŁONECZKO“, TAM PROMYKI

„Słoneczko.“ Pseudonim nie bez znaczenia. Odrazu po przeczytaniu, zrobiło mi się jaśniej i cieplej na duszy. To promyki „Słoneczka“ wplecione w słowa listu to sprawiły. Szkoda, wielka szkoda, że taka przestrzeń nas dzieli.

Kochane „Słoneczko“ pozdrawia również „Pieszczotkę“ i przesyła Jej tysiące całusów. (Czy nie za dużo?) List „Romantyka II“ bardzo się podobał „Słoneczku“. A mnie ogromnie rysuneczek, przesłany przez miłą „córeczkę“, więc dziękuję bardzo i — żegnam!

Teczka Wujka Janusza

SZCZĘŚCIA DNI ZŁOTE...

Kochanej Gabrylce i p. Anusiowi.

Dobrze Wam było razem, dni tak płynęły jak rzeka,
co czasem rani duszę, a czasem koi człowieka,
swe wody wartko lub sennie kołysze,
niepokój budzi albo rodzi ciszę.

Z prądem zabiera wszystko, co napotka w drodze,
gdy zagniewana na świat, ludzi srodze,
łzy gorzkie z biednych oczu ukraść umie,
żadnej tęsknoty, bólu nie zrozumie.

Dobrze Wam było razem, dziś... jesteście sami,
chwile dobre, beztroskie, zostały za Wami,
fala losu Wam smutek przyniosła, tęsknotę,
i ukradła Wam znowu szczęścia chwile złote.

Ale i fala dobra powraca do ludzi,
i przecież wciąż, uparcie każdego dnia łudzi,
aż wreszcie daje z siebie uśmiech po tęsknocie,
i znowu kąpie serca w marzeń szczęścia złocie.

Helena Kraśna.

Gniezno, w styczniu 1935 r.

PROSZĘ O PAMIĘĆ

„Dzinka.“ Droga „Dzinko“! Masz rację w swoich wywodach, jednak na świecie jest wiele zdań, pojęć i twierdzeń. Stwarzają one zawzięte dyskusje miłe, a czasem przykre. Tak było zawsze i będzie.

Wierszyki wkrótce zamieszczę i ściskam śliczną (?) zapewnie rączkę „Dzinki“. Proszę o dalszą pamięć.

TAKI LOS...

„Puszczyk.“ Mój drogi Przyjacielu! Sprawdziły się słowa starej piosenki: „Taki los wypadł nam, dzisiaj tu, a jutro tam.“ Cieszy mnie jednak, że doskonale Pan sobie radzi i pożytecznie spędza czas. W wolnej chwili niech Pan znowu do mnie napisze, i prześle garść nowych wiadomości. Serdecznie pozdrawiam.

SMUTNE ME ŻYCIE...

Smutne me życie! Smutnym torem płynie,
Choć świat tak pięknie stworzyłeś, o Boże!
Ono w goryczy i żalu ginie,
A ja w rozpaczy wciąż cały tonę.
Jako rozbitek w pustyni zbłąkany,
W przedśmiertnej do Cię ucieka się męce,
Tak ja od wszystkich ludzi odepchnięty,
Błagalnie do Ciebie wyciągam ręce.
Ach! Jam tak bardzo jest nieszczęśliwy...
Cierpienia znosić muszę i męki,
Że dziś westchnienie, przed Tobą złożę:
Cierpię mój Panie! Mój Wielki Boże!

Mieczysław Konrad Fritza.

Bysław, w styczniu 1935 r.

MOŻE...

Może kiedyś na życia mego drodze,
Napotkam szczęścia i miłości zjawę,
Na której widok wyschną oczy łzawe,
I pryśnie smutek, w którym cicha brodzę.
Może i dla mnie, gdzieś, kiedyś zabłyśnie
Jutrzenka szczęścia i duszę zaleje...
— Bo wciąż mam w sercu tę dziwną nadzieję,
Że moja tęsknota jak bańka pryśnie.
I wpłynie do serca na srebrnej fali —
Szczęście! — Mrok rozjaśni blaskiem swoim...
I wszystkie rany serdeczne zagoi,
I w oczach szczęścia znów blask zapali.

Śrem, w styczniu 1935 r.

Wanda Kędziorówna.

ZAWALIDROGA MA GŁOS

Nie rozumie, jak pragne wolności, dlaczego sie wszyscy tak dziwią, że jedna hrabina dostała świadectwo obóstwa.

Że ma dwanaście pokoi z kuchnią, że trzyma sześciu lokai i cztery kuchty, to już nie może być biedna? Dlaczego? sie pytam.

Przecież przejść przez takie wielgie mieszkanie chociaż trzy razy dziennie, to na same zelówki człowiek nie nastarczy, pracować? No, a pasta do froterki i lep na muchy w lato ile musi hrabinie kosztować?

Faktycznie można zbankretować w takiem mieszkaniu i na głupiego bażanta nie móc sobie na obiad pozwolić, albo na troszkie kawioru do śniadania.

A naprzykład z czterema kuchtami sie kłócić, kiedy z jednem tłomokiem nie można często wytrzymać, to nie jest prawdziwa bida? Albo cwaniaków lokai pilnować, żeby wina z kredensu nie wygondolili, to nie jest nędzne życie? Znakiem tego dowiedłem jak na dłoni, że ta dana hrabina faktycznie zasłużyła na świadectwo ubóstwa i wszystko jest w porządku i nie ma o czem mówić.

Lepiej sie zająć pomarańczamy, bo strach co sie wyrabia. Żona pomarańczowej gorączki dostała — dzień i noc to opycha i mnie każe wtrajać na śniadanie, obiad i kolację.

Witamina, powieda, w tem siedzi. A mnie licho do witaminy kiedy kwasu nie znosze. Na mieście musze sie stołować, a żona nic, tylko pomarańcze wsuwa; już jej sie zupełnie morda skrzywiła, i nos w mandarynkie za 20 groszy zamienił.

Myśle sobie: w domu człowiek nie może od tej pomarańczowej czerwonki sie ustrzedz, trzeba będzie iść do krewnych, wizyte jem złożyć i przetrącić po wódce czemś uczciwem.

No i ma sie rozumieć poszedłem do wuja Żołądkowskiego na Szmulowizne, gdzie zawsze była zagrycha prima i gołda w niebieskiej karafce.

Przywitałem sie po formie ze wszystkiemy, ciocie w mankiet, wujowi pyska trzy razy tam i nazad. No i zaczynamy barłożyć. Rozmawiamy godzine, dwie, a tu jakoś karafki nie widać.

— Co jest, do wielkiej małpy, — mówie — czy wujo na cynaderki chory, czy jak?

Ciocia odrazu sie domyśliła o co mnie sie rozchodzi. Skoczyła do kredensu i taszczy wódkie.

W porządku, myśle sobie, ale gdzie zagrycha? Patrzyć, a tu wujo szuflade w komódzie otwiera i wyciąga... Zgadnijcie państwo, co? Pomarańcze. Tak. Po-ma-rań-cze!

Myślałem, że mnie szlak trafi! Jak nie złapie jedną hiszpańską pomarańcz w rękie, jak nie przyfastryguje wujowi w nos. Jak nie złapie drugom, jak nie gwizdne ciocie w okulary.

— To, to taka granda? — wołam. — To wy, kochanego siostrzeńca, taka wasza tam i nazad, do grobu wpędzić chcecie? Popołudniowy owoc zamiast naturalnej zakąski mu dajecie?

No i ma sie rozumieć uskuteczniłem takie nieporozumienie, że ani jedna szyba nie została.

No, bo dosyć tego, prosze ja kogo! Nie damy sie dłużej hiszpanom za backi szarpanem, w witamine nabijać. To wy, cholery, jajecznice na szynce od nas zabieracie, a nam pomarańczkamy, oczy mydlicie?

Za kogo nas macie, za małoletnich pętaków, co ich można kiwać, na czerwony, kolorek, na okrągłe zabawkie?

Dosyć tego! Albo będziecie płacić za jaja forsą 12 groszy sztuka, albo gazować pod pomarańcze, bo my, takiej zakąski nie chcemy!

Raj kobiet

Zimowe ubranka do sportów i zabawy



75 751 Praktyczna sukienka na saneczki dla małej dziewczynki: spódniczka plisowana z barwnej wełny w kratę i ciemna wełniana bluzeczka sportowa.

75 752 Urocza sukienka na lód z niebieskiego aksamitu z obszyciem z futerka, do którego koloru dostosowane są guziki i pasek.

75 756 Ładne ubranko dla chłopca do lat 6-ciu, składające się z ciemnych spodenek i długiej bluzy z materjału w kratę. Obszycia bluzki są w tym samym kolorze, co spodeńki.

75 766 Dwuczęściowe ubranko i spodeńki z lekkiego wełnianego materjału i biała bluzeczka koszulkowa z kolorowym krawatem.

Powyższe kroje (Vobacha) nabyć można w administracji za poprzedniem nadesłaniem zł 1,40 przez P.K.O. nr. 207.393.

Jak się ubrać do zimowych sportów

Mody sportowe bywają zwykle dwie. Pierwsza odznacza się nadmiarem fantazji, bujnością pomysłów, niezwykłością kolorów, forsowanym „stylem" z nieprawdziwego zdarzenia — no i zwykle brakiem poczucia tego, czego dany sport wymaga. Kobiety, które hołdują tej modzie, zwykle sportu nie traktują poważnie — lecz jako możność mniej lub więcej ekscentrycznego przebrania się.

Tymczasem kobieta, która sporty uprawia na serjo, dba o wygodę i estetyczny wygląd, ale zna się na istotnym stylu, unika groteskowych wybujałości — skutkiem tego jej moda sportowa nigdy nie wygląda jak cyrkowe przebranie, choć laik orzeknie, że „tamta ubrana jest szykownie, a nie ta."

Dwa najpopularniejsze sporty zimowe — narty i łyżwy — mają tak ściśle ustalone kanony stroju, że moda niewiele ma tu do dodawania. Pewne drobne zmiany w szczegółach, pewne nowe kombinacje kolorów w przybraniach, — ale to wszystko. Linja zasadnicza pozostaje od wielu lat ta sama.

Do ślizgawki krój sukni może być dwojaki. Spódnica ze swetrem, albo całość „princesse".

Oddzielną spódniczkę i do niej dżemperek i sweterki dobrać należy ze smakiem, aby nie były rażące w kolorze. Spódniczka zawsze kloszowa, bo tego wymaga posuwisty ruch na łyżwach nadający rozfalowanej sukni płynne, piękne linje. Koloru ściśle obowiązującego niema — istnieje jednak kolor niedopuszczalny: t. j. biały. Bo zawsze na lodzie wygląda brudno, bo zawsze pogrubia, no i zawsze przy karambolu i możliwym upadku traci się niepokalaność i nabiera wyglądu niepożądanego. A wiadomo, że niema nic brzydszego, jak kolor „ciemno-biały".

Więc najlepiej całość bronzowa, granatowa, szara, a najszlachetniej, jak zwykle, czarna. Pewna fantazja w wyborze swetra dopuszczalna, trzeba do niego ściśle dopasować czapeczkę, rękawiczki, szal i pończochy. Wszystkie te rzeczy możemy zrobić same szydełkiem lub na drutach, świetną, ciepłą i grubą wełną „Tęczą" „Trójkąt w kole". Będzie nas to kosztowało niedrogo, a wyglądać będzie bardzo ładnie.

Drugi strój, to stylowa specjalna suknia na lód, której rodzaj jest zawsze jednakowy. Stanik obcisły, z czarnego aksamitu, zapinany z przodu lub z tyłu na rząd małych guziczków. Spódniczka ze stanikiem zrośnięta tworzy całość „princesse", mocno kloszową, krótką do kolan lub nieco dłuższa spódniczka. Biała czapeczka włóczkowa lub futrzana i takież rękawiczki. Wys. sznurowane trzewiki. Tak się ubiera prawdziwa łyżwiarka.

Strój narciarski to norweski kostjum klasyczny, złożony z długich spodni wpuszczonych w trzewiki, średnio-szerokich. Zlekka wyrzuconych. Do tego kurtka na jeden lub dwa rzędy guzików z paskiem i szerokim męskim kołnierzem. Całość czarna z wełny impregnowanej, nieprzemakalnej.

Dopiero po zdjęciu kurtki odsłaniamy barwność swetra, który stanowić musi garnitur z czapeczką, szalem, rękawiczkami i skarpetkami, wywiniętemi na buty. A pod swetrem — jako że wełna drapie — koszula z rękawkami, albo bluzka z jedwabnego jersey lub toile de soie, białego. Tak będzie i estetycznie i wygodnie i zupełnie klasycznie. Przy czerni kostjumu barwne akcenty czapeczki, szala i rękawiczek wspaniale grają kolorem na białości śniegu.

A choć przysłowie twierdzi, że „od przybytku głowa nie boli" — to przecież od nadmiaru kolorów mogą czasem zaboleć oczy, gdy patrzymy na zbyt fantazyjnie ubraną narciarkę.

Prostota i celowość stroju. Słońce jarzące na niebie. Pod nogami chrupiący śnieg. A w sercu radość życia.

Co słychać w polityce?

Ubiegły tydzień w dziedzinie polityki ogólno-europejskiej wypełniony był rozmowami i ważnemi naradami dyplomatycznemi dotyczącemi najgłówniejszego w chwili obecnej zagadnienia bezpieczeństwa.

Mimo rozliczne **trudności, stojące na drodze do zawarcia wielostronnego układu,** obejmującego całość kontynentu europejskiego, nie ulega w kołach dyplomatycznych najmniejszej wątpliwości, że chwila obecna nadaje się szczególnie do podjęcia decydujących rozmów w kwestji bezpieczeństwa. W sprawie tej zarysowują się dwie różne koncepcje, pomiędzy któremi wynalezienie kompromisowego rozwiązania wydaje się być dość trudne. Pierwsza, reprezentowana przez Francję koncepcja zmierzająca do oparcia pokoju europejskiego na uchwytnych gwarancjach bezpieczeństwa opartego o wielostronne umowy, obejmujące kolejno poszczególne części Europy. Druga koncepcja angielska zmierza do oparcia bezpieczeństwa o rozbrojenie, przyczem najtrudniejszym jej punktem jest zagadnienie legalizacji zbrojeń niemieckich.

O ile chodzi o wielostronne pakty bezpieczeństwa, to w wyniku ostatnich narad **ministra Lavala w Genewie** stwierdzić należy, że zagadnienie to **zarysowuje się** dość wyraźnie w formie leżącego w ramach porozumienia rzymskiego paktu środkowo-europejskiego, dla którego w zasadzie minister Laval zdołał pozyskać przedstawicieli państw Małej Ententy, oraz w pakcie wschodnim, który **bez Polski i Niemiec** obejmuje państwa Małej Ententy, Francję i Rosję Sowiecką.

Według oświadczeń komisarza dla spraw zagranicznych Sowietów, Litwinowa, widoki realizacji paktu wschodniego, którego zawarcie, jak oświadczył Litwinow, zależy obecnie wyłącznie od Niemiec, znacznie wzrosły. Nie przesądzając ostatecznego wyniku mozolnych rokowań w tej sprawie, możemy stwierdzić, że koncepcja konsolidacji pokoju europejskiego w drodze wielostronnych umów nie zostanie zaniechana.

* * *

Kwestje bezpieczeństwa stanowić będą jeden z głównych tematów bliskiej konferencji ministra **Lavala** i premjera **Flandina** w Londynie. Przygotowania do tych rozmów są w pełnym toku. Na konferencji londyńskiej poruszone będą między innemi następujące kwestje: 1) czy Francja jest gotowa na wyrażenie zgody na dozbrojenie Niemiec, legalizację ich zbrojeń i zastąpienie klauzul wojskowych traktatu wersalskiego nową konwencją pod warunkiem, że Niemcy powrócą do Genewy; 2) pozatem poruszona będzie również kwestja gwarancyj, jakich domagać się będzie Francja na wypadek wyrażenia swej zgody na legalizację zbrojeń niemieckich i zmianę klauzul wojskowych traktatu wersalskiego.

Jak wiadomo, rząd francuski gotów byłby w zasadzie zgodzić się na powyższe warunki wysuwane przez dyplomację angielską, pod warunkiem jednak przyjęcia przez Anglję w jakiejkolwiek formie, wyraźnych zobowiązań w sprawie paktu wschodniego, paktu środkowo-europejskiego, oraz uzupełnienia układów lokarneńskich. **W kwestji zbrojeń** Francja żądać będzie ustalenia wyraźnego stosunku zbrojeń niemieckich do sił zbrojnych Francji i Anglji z wyraźnem uwzględnieniem potencjału wojennego Niemiec.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

od dnia 27. I. do 2. II. 1935 r.

Niedziela, dnia 3 lutego 1935 r.

9.00 Audycja poranna 10.10 Transmisja Nabożeństwa ze Lwowa. Po nabożeństwie „Wspomnienie o Waldteuflu" 12.00 Transmisja z Partenkirchen 12.25 Przegląd teatralny 12.35 Poranek muzyczny 14.00 Muzyka salonowa 15.00 „Gawęda o lnie" — (pogadanka rolnicza) 15.15 „Kanarki śpiewają" 15.25 Przegląd rynków produktów rolnych 15.35 „Nasze polskie krakowiaki (płyty) 15.45 „Jak gospodarować w dobie obecnej" — odczyt 16.00 Audycja poświęcona Ignacemu Krasickiemu (przemówienie i recytacja) 16.20 Polskie drobne utwory fortepianowe 16.45 Opowiadanie dla dzieci. „Przygody Misia z ogrodu zoologicznego" 17.00 Muzyka do tańca 17.50 „Polska na morzu" — Odczyt (z cyklu „Książka i wiedza") 18.00 „Teatr wyobraźni" nadaje słuchowisko p. t. „Młody las" p/g sztuki J. A. Hertza 18.45 „Życie młodzieży" 19.00 Muzyka lekka 16.50 Feljeton aktualny 20.00 Koncert Orkiestry Symfonicznej 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy w Polsce" 21.00 „Na wesołej lwowskiej fali" 21.30 Wiadomości sportowe 21.45 „Skrzynka pocztowa techniczna" 22.15 Muzyka (płyty) 22.30 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 4 lutego 1935 r.

6.45 Audycja poranna 12.10 Muzyka salonowa 13.00 Dziennik południowy 13.05 Zespołowe fragmenty operowe (płyty) 15.30 Wiadomości o eksporcie polskim 15.35 Przegląd giełdowy 16.45 Lekcja języka niemieckiego 17.00 Orkiestra Wiktora Tychowskiego 17.25 „Skrzynka pocztowa" 17.35 Pieśni włoskie 17.50 Pogadanka Brunona Winawera 18.00 „Skrzynka pocztowa rolnicza" 18.10 Przegląd filmowy 18.15 Koncert kameralny 18.45 „Zagadki muzyczne" dla dzieci 19.00 Audycja żołnierska 19.25 Chwilka społeczna 19.30 „Polacy z nad Wielkich Jezior" 19.50 Wiadomości sportowe 20.00 „Od piosenki do piosenki". (Śpiew) 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy w Polsce" 21.00 Koncert symfoniczny 22.00 Koncert reklamowy 22.15 „Dziś przygrywają do tańca najsłynniejsze orkiestry świata" (płyty).

Wtorek, dnia 5 lutego 1935 r.

6.45 Audycja poranna 12.10 Muzyka popularna (płyty) 12.45 „Listy od dzieci" 13.00 Dziennik południowy 13.05 Dalszy ciąg muzyki popularnej (płyty) 15.35 Przegląd giełdowy 15.45 Muzyka lekka 16.45 „Skrzynka pocztowa P. K. O." 17.00 Transmisja ze Lwowa 17.25 „Skrzynka językowa" 17.35 Pieśni 17.50 „Skrzynka pocztowa techniczna" 18.00 Wiadomości rolnicze 18.10 „Życie kulturalne i artystyczne stolicy" 18.15 Orkiestra Straży Więziennej 18.45 „Miłość — tylko akompanjamentem" szkic literacki 19.20 Feljeton aktualny 19.30 Pieśni 19.50 Wiadomości sportowe 20.00 „Wieczór zimowy" — w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy w Polsce" 21.00 IV-ty Koncert historyczny muzyki polskiej 22.00 Koncert reklamowy 22.15 Muzyka salonowa 22.45 Odczyt w języku angielskim p. t. „Uniwersytety w Polsce" 23.05 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 6 lutego 1935 r.

6.45 Audycja poranna 12.10 Muzyka salonowa 13.05 Dziennik południowy 15.35 Przegląd giełdowy 15.40 Fragment teatralny 16.00 Sekstet kameralny 15.45 „Luty na niebie i ziemi" — pogadanka przyrodnicza dla dzieci starszych 17.00 Zespół harmonistów 17.25 „Jedynaczka" — Odczyt (z cyklu „Ze świata dziewcząt") 17.35 Pieśni 17.50 Poradnik sportowy 18.00 „Skrzynka pocztowa rolnicza" 18.15 Muzyka 18.45 „Polska w obecnej fazie kryzysu światowego" — Odczyt 19.00 Tercety wokalne 19.20 Pogadanka budowlana 19.30 Orkiestra Klubu Mandolinistów 19.50 Wiadomości sportowe 20.00 Wieczór Mickiewiczowski 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy w Polsce" 21.00 Koncert Chopinowski 21.30 Odczyt w języku francuskim p. t. Mikołaj Kopernik twórca współczesnej metody naukowej". 21.40 Pieśni polskie 22.00 Koncert reklamowy 22.15 Muzyka taneczna 23.05 Muzyka lekka (płyty).

Czwartek, dnia 7 lutego 1935 r.

6.46 Audycja poranna 12.10 „Na Podolu rośnie żyto bez kąkolu" pogadanka krajoznawcza dla dzieci 12.30 XIII-ty poranek Szkolny z Filharmonji Warszawskiej Słowo wstępne wypowie Tadeusz Mayzner 13.00 Dziennik południowy 13.05 Z rynku pracy 13.10 Dalszy ciąg poranku Szkolnego z Filharm. Warsz. 15.35 Przegląd giełdowy 15.45 Orkiestra taneczna 16.45 Lekcja języka francuskiego 17.00 Teatr Wyobraźni 17.50 Skrzynka pocztowa 18.00 Porady weterynaryjne 18.15 Tańce 18.45 „Co czytać" (nowości beletrystyczne) 19.00 Muzyka wokalna 19.20 Pogadanka aktualna 19.30 Ida Łosiówna na klindze 19.50 Wiadomości sportowe 20.00 Baletowa muzyka klasyków 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy w Polsce" 21.00 Koncert kompozytorski Bolesława Wallek-Wallewskiego 21.45 „Formy życia współczesnego" — odczyt 22.00 Koncert reklamowy 22.15 Muzyka taneczna 22.45 Rozmowy z angielskimi słuchaczami 23.05 D. c. muzyki tanecznej z płyt.

Piątek, dnia 8 lutego 1935 r.

6.45 Audycja poranna 12.10 Trio Jana Dworakowskiego 12.45 „My i nasze dzieci" — odczyt 13.00 Dziennik południowy 13.05 Zespół mandolinistów 15.30 Wiadomości o eksporcie polskim 15.35 Przegląd giełdowy 15.35 Muzyka salonowa 16.45 Audycja Audycja dla chorych 17.15 Trio gitarowe Eplera 17.50 „Przegląd wydawnictw" 18.00 „Nowiny leśne" 18.10 „Życie kulturalne i artystyczne stolicy" 18.15 Koncert solistów 18.45 „O mniejszościach narodowych w Wielkopolsce" (odczyt z cyklu „Wielkopolska współczesna") 19.00 Pieśni 19.20 Pogadanka aktualna 19.30 Arje (płyty) 19.45 Odczytanie programu na dzień następny 19.50 Wiadomości sportowe 20.00 „Jak spędzić święto"? 20.05 Omówienie programu symfonicznego 20.15 Koncert symfoniczny. W przerwie Dziennik wieczorny oraz „Jak pracujemy w Polsce" 22.30 Recytacje poezyj 22.40 Koncert reklamowy 13.05 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 9 lutego 1935 r.

6.45 Audycja poranna 12.10 Koncert 13.00 Dziennik południowy 13.05 D. c. koncertu 15.35 Przegląd giełdowy 15.45 Nowe nagrania na płytach 16.30 „Wesoła audycja dla dzieci" 17.00 Transmisja Nabożeństwa 17.50 „Współczesne wnętrze" (Odczyt z cyklu „Dom i Rodzina") 18.00 Wiadomości rolnicze 18.10 „Życie kulturalne i artystyczne stolicy" 18.15 Sześć utworów Paderewskiego 18.45 „Z badań nad zapłodnieniem i hormonami" — reportaż 19.00 Pieśni Jarosława Kricki dla dzieci 19.20 „Gostyń — miasto u stóp św. Góry" 19.50 Wiadomości sportowe 20.00 To karnawał... 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy w Polsce" 21.00 Muzyka polska 21.45 „Ignacy Krasicki (zpowodu 200-letniej rocznicy urodzin) szkic literacki 22.00 Koncert reklamowy 22.15 Muzyka taneczna 23.00 Wiadomości meteor. dla komunikacji lotniczej 23.05 „Loża Szyderców" 23.35 Na zakończenie tygodnia — płyty 24.00 Retransmisja muzyki tanecznej z Londynu.

Ze świata

Konkurs krzepkości starców

Ruhrwoding, Niemcy. — Urządzono tu konkurs krzepkości starców. Czterdziestu dwóch mężczyzn, z pośród których każdy liczył przeszło 79 lat, wspięło się na szczyt góry 6.000 stóp wysokiej. Niektórzy, znajdując się na szczycie, zaczęli tam tańczyć.

CHWILA ZASTANOWIENIA

F I G I E L E K
ułoż. „Velga" z Głowna.

Gdy zmienisz literę w kronikarzu,
To chorego otrzymasz odrazu.

P A R O D J Ó W K I
ułoż. „Velga" z Głowna.

1. Ukrop — cicho jest w literze,
   Miasto w Polsce, a nie zwierzę.
2. Głupi — wykrzyknik,
   Parodja nazwiska jest taka
   Polskiego, sławnego śpiewaka.

Za rozwiązanie powyższych zadań, redakcja wyznacza nagrodę w postaci dwóch książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku — dnia 8 lutego b. r.

Rozwiązania zadań z nr. 3 „Moich Powieści". — *Bilety wizytowe:* sekretarka osobista — generał brygady. *Rebus:* „Kraina szczerości i naszych trosk."

Trafne rozwiązania nadesłali: Henryk Silczyński Warszawa, F. Gałecki Głowno, Stefan Śledzikowski Gdynia, Małgorzata Jaedke Toruń, Antonina Romaniuk Brzostowo, Bronisław Pławiński Mogilno, Janusz Jodłowski Rozprza, Czesław Kozłowski Warszawa.

Nagrody w drodze losowania przypadły: pp. Bronisławowi Pławińskiemu — Mogilno, ulica Sądowa 1 i Antoninie Romaniuk Brzostowo, poczta Miasteczko n/N. pow. Wyrzysk.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

WP. Aleksy Homij i Hieronim Maślonkowski. Rozwiązanie zagadki konkursu wysłać należy do firmy „Polski Konsument" w Łodzi.

Wśród warjatów

Upiór zamku Sokolskich

(Romans)

22)

Czyżby przyszedł, aby się paść widokiem jego męczarni, albo może polecono mu ściślejszy dozór nad więźniem? — Hrabia Kazimierz podniósł się z krzesła, na którym wsparł się szlochając i postąpił ku oknu, obracając się tyłem do przybysza.

Jakaś ręka położyła się na jego barkach, obróciwszy się ujrzał służącego przed sobą, w którego obliczu czytał pewne współczucie.

Służący ten był to jakiś rosły, kształtny mężczyzna, twarz jego możnaby było nawet nazwać piękną, gdyby nie rude włosy, które spadały mu na skronie.

„Czego chcecie?“ zawołał Kazimierz. „Nie wołałem was, — nie macie prawa tutaj wchodzić, — tyle względów przecie mi dozwolą, żebym sam został, jeżeli sobie tego życzę“.

„Wszedłem tutaj z pozwoleniem starego Walentego“, odpowiedział rudowłosy, „mam tylko parę słów do wymienienia, a ręczę że jeżeli mnie pan hrabia zechce wysłuchać nie będzie to z jego szkodą“.

„Więc mówcie, ale krótko, — czego chcecie odemnie?“

„Chcę panu wolność przynieść“, odparł rudy, śmiejąc się z chytrością, „kosztuje to pana tylko jedno śmielsze zdecydowanie się, a będzie pan wolnym jak ptak w powietrzu“.

„Wolny, — wolny“, wyrzucił ze siebie Kazimierz. „Jakże to możliwe? Czy przysłał was do mnie mój ojciec? Przekonał się już, jaką krzywdę mi wyrządził? Znalazł się może prawdziwy morderca?“

Rudowłosy poruszył ramionami.

„Panie hrabio“, odrzekł, „widzę niestety, że pan hrabia zupełnie w błędzie co do przekonania o swojem położeniu. Podejrzenie ciąży jeszcze ciągle na panu, tajemnica tej zagadkowej zbrodni jeszcze nie wyjaśniona, — przeciwnie wszystko się tak składa, że posądzenie to nie zejdzie tak prędko z pańskich barek. Proszę tylko rozważyć wszystkie bliższe okoliczności. Ofiara wymieniła pana jako swego mordercę, — znaleziono pana tej samej nocy, tej samej godziny rzeczywiście w parku zamku hrabstwa Sokolskich, w którym wydarzyło się to nieszczęście; — panie hrabio, chyba nie narodził się jeszcze taki zaprzysiężony, któryby pod tymi warunkami ogłosił pana niewinnym.“

Kazimierz przybladł mocniej. Ten bezwzględny sposób, w jaki ów służalec kreślił mu jego położenie, dał mu do poznania, że znajduje się właściwie bardzo blisko otworu przepaści.

Tak, ten człowiek miał rację; — jeżeli rzeczywiście ta sprawa przyjdzie pod sąd, może się bardzo łatwo zdarzyć, że osądzą go niewinnie.

„Panie hrabio, stary Walenty i ja litujemy się nad panem. Jesteś pan przecież synem dziedzicznego hrabiego Zamskiego, młodym arystokratą, — toby strasznem było, gdybyś pan się dostał do sądu, a potem prawdopodobnie na rusztowanie. — Nie, nie, proszę mi nie przeszkadzać, panie hrabio, proszę mnie wysłuchać aż do końca, — ja jestem koniuszym u pana hrabiego Zygmunta, nie będzie mi trudnem wyszukać dla pana dobrego konia. — Skok z tego okna, a znajdzie się pan na gościńcu, ja już się postaram, żeby pan znalazł osiodłanego rumaka na umówionem miejscu, a potem niechże pana gonią, jak chcą. — Proszę się zdecydować i wymówić energiczne słowo, panie hrabio, każda minuta jest drogą, bo w następnej może powrócić pański ojciec, — proszę mi wierzyć, że stokroć lepiej dla pana uciec za granicę, pobyć tam z parę lat, aż to wszystko się uspokoi, aniżeli zawrzeć znajomość ze sądem, więzieniem, i co możliwe ze szubienicą!“

Kazimierz zadrżał, pierś jego podnosiła się i opadała gwałtownie, oddech stał się krótki, gwiżdżący, straszna walka toczyła się w jego wnętrzu.

Uciekać? W jednej chwili poznał dokładnie całe swoje położenie, w jakiem się znajdywał; — ha, ten człowiek miał rzeczywiście słuszność, nie było wyjścia, ucieczka była jeszcze najlepszą, najpewniejszą i najprostszą.

Ale uciekać! Nie byłożby to przyznać się do winy? Czyż ten, który się ucieczką ratuje nie kładzie na siebie piętna przestępcy? zamiast dowodami zbić podniesione zarzuty usuwa się podstępem od odpowiedzialności.

„O nie, i jeszcze raz nie!“ wołał jakiś głos w duszy Kazimierza. „Niech przyjdzie co chce, — hańba, rozpacz, śmierć zniesławiająca, — lepiej dać głowę niewinnie pod topór kata, aniżeli uciekać z piętnem winy na czole.“

„Proszę się zdecydować,“ przynaglał rudowłosy, „z powrotem pańskiego ojca czeka na pana zguba.“

„Niechże mnie gubią“, odpowiedział hrabia Kazimierz, „przynajmniej jako niewinny nie jako zbrodniarz wstąpię na rusztowanie.“

„Ale pan hrabia może tego uniknąć, proszę tylko wykorzystać sposobność, jaka się panu sama do rąk ciśnie; — koń, którego wyszukam, poniesie pana galopem do stacji kolejowej, — tam kupi pan bilet i jutro rano jesteś pan zagranicą; — a stamtąd do Ameryki. Wówczas niech sobie pana sądzą jak im się podoba.“

„Precz, bezwstydny!“ zawołał Kazimierz, „jak śmiesz się poważyć przemawiać do mnie w ten sposób?“

Ze szybkością, która zadziwiła młodego hrabiego, znikł sługa za drzwiami.

Kazimierz patrzył za nim zatopiony w myślach.

„Ciekawy jestem co to za człowiek i co on miał w tem; namawiał mnie przecież wprost, abym się ratował ucieczką i abym się przyznał w ten sposób do winy, tak jakby mu zależało na tem, abym znikł ze zamku napiętnowany stygmatem winnego.

W tej chwili słychać było jakieś kroki u drzwi. Kazimierz rozpoznał głos ojca, który wydawał właśnie jakieś prędkie rozkazy poza drzwiami, — szybko podniósł się nieszczęsny spiesząc na spotkanie ojca.

Musiał już przywieść ze sobą przekonanie o jego niewinności, rozmawiał przecież z Anielką, a to lube dziewczę musiało potwierdzić jego słowa.

Ale jak tylko ujrzał starego hrabiego w drzwiach, podobnego do statuy wyciosanej z kamienia, jak tylko spojrzał w jego boleścią oszpeconą twarz, potoczył się jak pijany wstecz, poznał, że wszystko przepadło dla niego — wszystko!

„Zabójca!“ zakrzyknął hrabia głuchym, grobowym głosem, — „morderca! — Jak chcesz powtórzę jeszcze raz to słowo, — tak, ty jesteś mordercą! — Wszystko, co powiedziałeś, okazało się bezczelnem kłamstwem, — cztery tygodnie miałeś przebywać w zakładzie obłąkanych? Haha, tam nie widziano ciebie nawet, tak doktor Morizano jak i jego służba potwierdzili mi to!“

„Skłamali bezwstydnie!“ zawołał Kazimierz, „czego innego nie spodziewałem się od doktora Morizano. To łotr wyrobiony, lis szczwany, otoczony taką samą bezczelnie łżącą hołotą jak sam, w jego budynku próżno będziesz szukał za prawdą, o, ojcze, jeżeli tylko takich świadków postawisz przeciwko mnie, będziesz mnie musiał potępić na podstawie ich nieprawdziwych, krzywoprzysięskich zeznań.

Prosiłem cię przecież, abyś rozmówił się z Anielcią Dubois, — cóż ona ci powiedziała?“

„Nic więcej, jak co ta kartka zawiera!“

Drżąc ze wzruszenia wydarł hrabia Teodor jakąś kartkę z kieszeni trzymając ją pod same oczy Kazimierza:

„Tutaj masz, czytaj!“ zawołał złamanym głosem, „czytaj, podły morderco, i dowiedz się, jak pogardza tobą nawet ta, w której się rzekomo zakochałeś. W tym liście wyrzeka się ciebie, twierdzi, że nie jest przemocą trzymana w zakładzie dla obłąkanych, przeciwnie zaręcza z całą stanowczością, że widzi w doktorze Morizano tylko swojego ojcowskiego przyjaciela, któremu wiele, bardzo wiele zawdzięcza. No, — wyrodny synu, — cóż masz jeszcze do powiedzenia? — Prędko, namyśl się, — wymyśl jakieś nowe kłamstwo, — przecież to tak łatwo, wymyślić bajkę, jeżeli się tylko o to rozchodzi, aby oszukać serce nieszczęśliwego ojca.“

Kazimierz podniósł obie drżące ręce, — wpatrzył się w papier bezmyślnym wzrokiem, — czytał ciągle jedne i te same słowa; — Wszechmocny Boże, czyż to naprawdę mogła napisać Anielcia?

O nie, — na Boga, nie! Prędzej uwierzyłby w zagładę świata, jak w to.

„To pismo, mój ojcze,“ wydobył ze siebie z trudem, „musi być sfałszowane, — tego nie mogła napisać Anielka, — zapewne ten szubrawiec doktor Morizano sporządził ten dokument.“

„Nie obrażaj tego człowieka,“ przerwał mu hrabia Teodor grzmiącym głosem, „doktor Morizano nie jest ani szubrawcem, ani fałszerzem, ani nie jest zdolnym kogoś trzymać przemocą w więzi, jak to wymyśliłeś naprędce. Wiedz o tem, żem się zaraz w następnej chwili przekonał, czy Anielka Dubois napisała własnoręcznie te słowa, — zażądałem natychmiast od doktora, aby mi ją przyprowadził i ona zjawiła się.“

„Ach, tyś ją widział, mój ojcze, rozmawiałeś z nią? Cóż za szczęście dla mnie i dla niej! W takim razie musiało się wszystko wyjaśnić."

„Anielcia Dubois potwierdziła w mojej obecności, że sama własnoręcznie napisała to zeznanie. — Musiałem nawet świecić czołem za ciebie, bo obrzucała mnie wzrokiem pełnym wzgardy tylko dla tego, że mam zaszczyt być twoim ojcem, potem, — potem łkając schowała swoją twarz w rękach i wybiegła z pokoju."

„Anielcia to potwierdziła?" wydusił ze siebie Kazimierz, „tę kartkę, — ona napisała, — ona, — och, w takim razie jestem zgubiony!"

Złamany boleścią nie dającą się określić, rzucił się na dywan, chowając twarz, — nerwowo drżące palce wpiły się w gęste pukle włosów, — ale ciało drżało, — zdawało mu się, że już, już porwie go atak szału.

„Powstań!" rozkazał hrabia Teodor, który spoglądając na niemą, a tak straszną rozpacz syna zadrżał mimowoli i odbłysk współczucia odzwierciedlił się na chwilę w jego surowym wzroku, „powstań, nieszczęsny, — muszę z tobą porozmawiać jeszcze."

Kazimierz podniósł się, ale rysy jego twarzy zmieniły się nie do poznania, — jego odporność była złamaną, — głęboka beznadziejność odmalowała się w jego oczach, — ręce zwieszały mu bezsilnie u ramion, — głowę miał opuszczoną na piersi.

„Czegoż chcesz jeszcze ode mnie?" spytał grobowym głosem, „czyń ze mną, co ci się podoba, — wołaj oprawców, — każ mnie skrępować i wyprowadzić, — niechże mnie zamkną, — przesłuchują, — oskarżą, — i skarzą, — tak na szubienicę! — tylko prędko, jak najprędzej, — precz z tego padołu głupiego, — do grobu, do ciemni zapomnienia, — tego jednego życzę sobie jeszcze."

„Mój synu," wydobył ze siebie z trudem hrabia Teodor, — poraz pierwszy po tak długiej pauzie nazwał go znowu imieniem syna, — „posłuchaj, com postanowił.

„Ja sam nie jestem pewnym, czyś ty winny, czy niewinny! — Mój rozsądek, mój jasny rozum powiadają mi, żeś ty popełnił tę zbrodnię, serce jednak moje wzdryga się na myśl i odrzuca ją precz od siebie, — niechce przypuścić, aby hrabia Zamski mógł się stać mordercą, — nieustannie szepce mi, że mój syn, którego tak wzorowo i z taką troskliwością wychowałem, nie mógł sprzeniewierzyć się w tak ohydny sposób swemu honorowi, — całemu wychowaniu, — krwi swojej. Niechże więc powołana do tego władza rozsądzi, czyś jest winnym, — czy niewinnym. Policję zawiadomiłem już o całym wypadku."

Podniósł się i miarowym krokiem podszedł do drzwi i otworzywszy je zawołał głośno i stanowczo:

„Panie komisarzu kryminalny, proszę spełnić swój obowiązek, — zaaresztuj pan tego, na którym spoczywa podejrzenie, że dopuścił się krwawego występku w zamku Sokolskich!"

Wysoki mężczyzna, czarno ubrany, trzymający mały kapelusik w ręce, przestąpił próg bibljoteki, tuż za nim wyłoniło się sześciu policjantów w uniformach i w hełmach.



Artystka amerykańska, Katarzyna Hepburn, występuje w najnowszym filmie z dziejów przedwojennych Ameryki. Na zdjęciu Katarzyna Hepburn (na lewo) w otoczeniu trzech artystek, grających role jej sióstr.

W tyle cisnęła się cała służba zamku, nieład i zamęt zapanował na chwilę, jakiś głuchy pomruk dał się słyszeć.

„Hrabio Kazimierzu Zamski", odezwał się nieznajomy basowym głosem, przystępując bliżej do złamanego młodzieńca, „w imię prawa aresztuję pana, — na panu cięży podejrzenie zbrodni, dokonanej na panice Elzie Rodeń!"

Kazimierz zadrżał na sekundę, — jeszcze raz wyprostował się i podniósłszy dumnie głowę w górę, odrzekł:

„Fałszywe podejrzenie spadło na mnie, — jestem ofiarą strasznego błędu!"

„To wykryje śledztwo", odpowiedział nieznajomy, „teraz proszę pana pójść ze mną, — spodziewam się, że nie będziesz pan próbował ucieczki i nie będziesz się sprzeciwiał moim rozkazom, inaczej byłbym zmuszonym kazać panu założyć na ręce kajdanki."

„Proszę się nie obawiać, mój panie, — zastosuję się z cierpliwością i ze spokojem do pańskich rozkazów."

W tej chwili zjawił się na progu sali przeznaczonej na bibljotekę hrabia Zygmunt ze swoją córką. Lola, którą tylko cienki, muślinowy, nocny strój osłaniał, była wybladłą z przestrachu, a jednak czarowała swoją pięknością i urokiem.

„Popatrz tylko, tatko", wołała drżącym głosem, „chcą go przyaresztować, — chcą go zabrać ze sobą, och, ja proszę cię na wszystko, nie dopuszczaj do tego, nie pozwól na to, on przecież niewinny!"

„Niewinny", wykrztusił ze siebie z trudem hrabia Teodor, przystępując bliżej do Loli, „och, moje dziecko, całą resztę mego życia poświęciłbym chętnie za to, gdybym mógł się zapewnić, że to słowo prawdę wypowiada."

„On niewinny", zawołała Lola, „ja wiem to dobrze, — — ja przeczuwam to!" poprawiła się natychmiast.

„Dziękuję pani, panno hrabianko, jak najserdeczniej za tę dobrą opinję o mnie", zawołał Kazimierz, spoglądając na nią z wyrazem wdzięczności, „pani pocieszyłaś mnie, — podniosłaś mnie, — dzięki ci za to!"

Lola spuściła główkę na piersi, które wewnętrzne łkanie targało, nie śmiała jednak odezwać się więcej, bo za drzwiami tuż za policją stał Alfred Robber, który wpatrzył się w nią uporczywie, surowo, z groźbą w oczach.

„Ja również", zawołał Zygmunt, przystępując bliżej do młodego hrabicza, jestem jak najsilniej przekonanym o pańskiej niewinności, dlatego użyję wszelkich środków, by zrzucić to niecne podejrzenie z pańskich barek, proszę się spuścić na mnie i być przekonanym, że nie zaśpię sprawy. Na znak, że uważam pana za szlachetnego, honorowego człowieka, podaję panu moją prawicę, — proszę ją przyjąć, — jestem pewny, że nie podaję jej nikomu niegodnemu."

Okrzyk bolesny wyrwał się z piersi Kazimierza, obu rękami schwycił wyciągniętą prawicę Zygmunta, pochylił się ku niej, jakby chciał pocałunek złożyć na ręce hrabiego.

„Dzięki, — dzięki, — stokrotne dzięki!" wyjąkał, cedząc powoli słowo za słowem wskutek ogromnego wzruszenia, „panie hrabio, od tej chwili jestem pańskim dłużnikiem. — Chociażbyś zażądał pan mojego życia, dałbym ci je chętnie, — pan jeden nie zwątpiłeś co do mnie, — w oczach pańskiej córki widziałem łzę współczucia, — niechże wam Bóg nagrodzi to wszystko tysiąckrotnie!"

Łkanie gwałtowne przerwało mu dalsze słowa, nawet sam komisarz policji i inni nie mogli się powstrzymać od głębokiego wzruszenia, przez kilka chwil zapanowało uroczyste milczenie w sali, w której odbywała się ta ceremonja pożegnalna.

„A teraz", wyszeptał Kazimierz, obracając się powoli, „jestem gotów, pożegnałem wszystko, co mi drogie na ziemi, — Żegnajcie, — żegnajcie mi moi przyjaciele i chociażby Bóg wie jak wypadło nie wątpcie, żeście zawierzyli szlachetnemu i godnemu. — Panie, proszę mnie

prowadzić, jużem się stęsknił za spokojem celi więziennej."

Kazimierz postąpił kilka kroków, ale w tej chwili rozległ się jakiś rozpaczliwy krzyk z piersi starego hrabiego Teodora. Z rozwartemi ramiony podbiegł ku swemu synowi.

„Ach, nie odchodź tak ode mnie, mój synu", zawołał głosem złamanym, pełnym ukrytej rozpaczy, „o, nie rozstawajmy się tak! Przebacz mi, żem cię wydał w ręce ziemskiej władzy, ale to musiało się stać! — Bądź zdrów, moje biedne dziecko, — niech ci Bóg dozwoli udowodnić twoją niewinność, — mnie pęka serce już teraz, — wierzaj mi, — niebo wzywam na świadka!"

„Bądź zdrów, mój ojcze", zawołał Kazimierz, „bądź zdrów, niech ci Bóg użyczy pomocy w tym czasie próby."

Padli sobie w ramiona, przez minutę przyciskał starzec swego syna do piersi.

„I chociażbyś był winnym, chociażbyś naprawdę skalał się krwią, — pomimo tego jesteś przecie mojem dzieckiem, — moja krew płynie w tobie."

„Czas ucieka", zawołał komisarz, „nie możemy dłużej zwlekać, musimy się spieszyć, proszę za mną, panie hrabio."

„Już idę", zawołał Kazimierz, uwalniając się z trudem z objęć ojcowskich i postępując za urzędnikiem.

W chwili, kiedy przestępował próg sali czytelnej usłyszał jeszcze jakiś przeraźliwy krzyk kobiecy za sobą. Obrócił się jeszcze raz i zobaczył, jak Lola, córka hrabiego Zygmunta, padała na ziemię zemdlona.

XXVIII

Kawałek gazety

W strasznej, męczącej jednostajności upływały dni Anielci w zakładzie dla obłąkanych doktora Morizano. Niby piękny, samotny anioł przesuwała się blada po ciemnych salach gmachu.

Ból niewymowny i cierpienia, które duszę i serce jak mrowie obsiadły i kamieniem na piersiach jej ciężyły, spotęgowały piękność jej jeszcze, bo nadały jej powagi, okrasiły jej lica czemś, co się słowami wypowiedzieć nie da, — wyryły ślady zacierające niewinność pierwszej młodości, znacząc w miejscu tego to, — co kobietę w oczach mężczyzny tem pożądańszą czyni.

Mimo bolesnych koleji losu, które nad głową Anielci jak chmury ulewne i w grom ciężarne przeszły, zanim przestąpiła progi zakładu doktora Morizano, pozostał w oczach jej ten djabełek wesoło do świata się uśmiechający, — wtedy zwłaszcza, gdy się na kraju lasu z młodym hrabią Zamskim spotkała.

Ale dziś! — Dziwnego, jakiegoś blasku i piękności oczy jej nabrały, — mimo zasłony z łez, co niło woalka je przysłaniały, — podobne do zwierciadła górskiego jeziora; sądzisz, że dno ujrzysz, tak jasne i przeźroczyste. — A kto, przenikliwym wzrokiem serce i duszę jej przenikającym spojrzy, obaczy w nich — grób.

Grób szczęścia, grób jej miłości! Pochowała w nim wszystko, wszystko i pochować musiała, — życzenia, nadzieję i tęsknotę. Przecież to trzy struny serca każdego dziewczęcia w dziewictwa zaraniu, — na nich fantazja najcudniejsze wygrywa melodje, — co zlane w jeden akord szumią, jedną poważną, odwieczną, — a zawsze młodą, odradzającą się pieśnią, nigdy i niczem po koniec świata niezużytej miłości.

Zeznania, jakie doktor Morizano poczynił przed nią, wywołały zamęt, — potargały strunę nadziei, wytworzyły próżnię, z której jak z czeluści wyglądało: „wątpienie, czczość, żal i zniechęcenie.

Kazimierz był jej pierwszą miłością. Pokochała go z całej głębi czystego, z puchu i czaru doświadczeniem życiowem nie odartego jeszcze serca, — miłości tej oddała się z całą ufnością, w ideał swój wierzącej kobiety. Im głębsza miłość, tem straszniejsze złudzenie.

Kazimierz, ideał jej, — ideał kobiety łaknącej miłości, — ma być jej bratem. Wiadomość ta, która napełniła ją najpierw przerażeniem i bolesnem rozczarowaniem, poczęła zamieniać miłość jej prawie w nienawiść do niego, — bo niemasz bardziej gorzkiego zawodu, jak zawód przez drogie osoby sprawiony.

On ją łudził, oszukiwał, rozczynił w jej sercu tęsknotę, rozpalił ogień świętej miłości...

Anielcia wierzyła ślepo słowom doktora Morizano, które oporność jej przełamały, — wierzyła w te wszystkie bredźnie, które nikczemnemu celowi służyć miały; nie przeczuwała nawet, w jaki sposób on ją okłamał, — ołgał.

Nikczemnik lał kroplę jadu po kropli do jej duszy, — aż pod działaniem jego uwiądł kwiat pielęgnowanej miłości.

Nie pozostawało więc Anielci nic innego jak zrzeczenie się i rezygnacja. Los jej był podobny obecnie do losu młodej zakonnicy, zmuszonej, bez wewnętrznego powołania, całe życie spędzić za murami klasztornymi, mimo głosu serca, które bunt podnosi przeciw tyranji, — a jednak godzić się pomału musi z gorzkiem przeznaczeniem i wyrzeka się świata, choć z piersi wydobywa się westchnienie, oznaka żalu, — a wzrok od czasu do czasu mimowoli wymyka się z myślą poza kraty klasztornej celi do świata — tego pięknego, tem piękniejszego, bo niedościgłego.

I Anielcia wyrzec się go postanowiła, — powzięła stanowczy zamiar zakładu nie opuścić więcej, — pozostać tu na całe życie, — poświęcić je tu chorym cierpiącym, pozbawionym tego, co człowieka-zwierzę człowiekiem dopiero robi — rozumu.

Zamiar, który Anielcia powzięła, był bohaterski, — i powstać mógł tylko w duszy dziewczęcia zdradzonego lub opuszczonego.

Zadanie, które ona sobie postawiła, było nadzwyczaj ciężkie; tem cięższe dla młodego, tak pięknego, pełnego powabu dziewczęcia, które jak stworzone było, by uszczęśliwić mężczyznę, a miłością jego stać się również szczęśliwą. Miasto tego, odtąd — i nazawsze — póki jej życie, miały przed jej oczami przesuwać się tylko twarze Meduzy, — twarze, na których bezrozum dziwne powykreślał linje, odebrał blask oczom i zastąpił go bezmyślnością i ogłupieniem. Między tymi ludźmi miała spędzić cały swój żywot, — najbiedniejszymi z biednych, bo odartymi z praw człowieczeństwa, — między nimi pozostać miała nazawsze. Liść po liściu opadnie z kwiatu jej młodości, — przeminie i lato życia, aż śnieg jej bujne przyprószy włosy, a wiek ją całą do ziemi zegnie. I widzieć przed sobą okiem ducha ten długi łańcuch dni, łączący teraźniejszą jej młodość ze starością, — ten szary łańcuch, na którym ni jednego ogniwa nadziei!?

(Ciąg dalszy w następnym numerze).



Mieszkaniec małej wioski angielskiej, Basil Brown, zarabia na chleb codzienny jako zwykły robotnik, w nocy zaś poświęca się pracy naukowej przy teleskopie. Brown, który dokonał ważnych odkryć, znany jest w świecie naukowym całego świata.

Tajemnice Wenecji

(Przekład z francuskiego) 73)

Gondoljerzy Jinga, którzy zauważyli od pewnego czasu dziwny niepokój w zachowaniu się swojego pana, dowiedzieli się od służby pałacowej, że admirał powrócił, a człowiek uważany przez wszystkich za prawdziwego hrabiego wcale nie jest jego synem. Jeszcze nikt nie śmiał głośno o tem rozprawiać. Wiedzieli tylko wszyscy, że admirał został przyjęty z wielką okazałością.

Niebawem zaszedł nowy wypadek: skasowano wyrok skazujący dożę na śmierć; mało tego: doża powrócił i również był przyjęty z wszelkimi względami należnemi jego wysokiej godności.

Sekretarz Alcanto i sprzymierzeńcy doży, nie byli zadowoleni zadośćuczynieniem danem doży. Lękali się oni, aby w umysłach podejrzliwych nie pozostała myśl o jego winie. Postanowili oni zebrać niezbite dowody jego niewinności.

Alcanto przed nagłym wyjazdem z Wenecji, dowiedział się, gdzie mieszkał główny winowajca: wierszarz, zabity przez Memma. Owinięty w czarny płaszcz, popłynął wieczorem do części miasta, zamieszkałej przez najuboższych ludzi i tu szukał nędznego, znanego mu domku. Wszedłszy na mokre, brudne schody, ujrzał, że drzwi domu stoją otworem, równocześnie ujrzał dwie kobiety, siedzące na progu.

— W tym domu mieszkacie? — zapytał je Alcanto.

Kobiety z ciekawością spoglądając na sekretarza, potwierdziły pytanie.

— Wiecie zapewne, że w tym domu mieszkał wierszarz Peci? — indagował Alcanto.

— Mieszkał tu, ale już nie żyje! — rzekła jedna z kobiet.

— Peci był narzeczonym mojej córki Lidi — objaśniła druga.

— Gdyby nie umarł, byłby teraz znakomitą osobą — dorzuciła pierwsza.

— W ostatnich czasach miał bardzo wiele pieniędzy!

— Z kim najwięcej poprzestawał Peci? — zapytał Alcanto.

— On miał liczne znajomości — objaśniła niedoszła teściowa wierszarza.

— Był w przyjaźni z Pesarim — dorzuciła druga.

— Gdzież mieszka ten Pesari? — zapytał Alcanto, szczęśliwy w duchu, że trafił na jakiś ślad.

— Pesari mieszka w tym domu, w izbie na dole. Nie ma go jednak i powraca późno w nocy. Teraz znaleźć go można na schodach kościoła św. Marca.

— W ostatnich czasach Tommaso, nader często odwiedzał wierszarza — dodała druga kobieta.

— Któż to jest?

— Tommaso jest gondoljerem i mieszka w sąsiednim domu.

— Czy jest teraz u siebie?

— Ale gdzież tam, to biedny człowiek i musi bezustannie pracować; zapewne przy placu Piazetta oczekuje w gondoli na pasażera.

Alcanta zadowolniły te objaśnienia; podziękował rozmownym kobietom i wskoczył do gondoli, rozkazując zawieźć się na placyk Piazetta.

— Znacie Tommasa? — zapytał wiosłującego gondoljera.

— Znam, monsignore, ma nawet własną gondolę, ale przekonany jestem, że nie zadowoliłby waszych wymagań — odrzekł przezorny gondoljer.

— Sądzisz, że przyjąłbym jego usługi? Czy masz co przeciw niemu?

— Hm, monsignore! Tommaso to niebezpieczny człowiek! Za bardzo przyjaźnił się z Pecim. On był jednym z głównych spiskowców.

— Pokaż mi go, skoro przybędziemy do schodków — rzekł Alcanto.

Skoro statek zbliżył się do brzegu, gondoljer wskazał kilku swoich kolegów.

— Oto Tommaso, monsignore — rzekł. — Ten z czarną brodą.

Gondola zatrzymała się przy schodkach i Alcanto wyszedł na brzeg. Tommaso stał w pobliżu, nucąc piosenkę. Alcanto zbliżył się do niego.

— Pójdźcie pod filary, — rzekł, wyciągając doń rękę.

Tommaso przyzwyczajony był widocznie do podobnych zaproszeń, bo bez wahania przyjął z rąk sekretarza kilka skudów i poszedł we wskazane miejsce.

— Pragnę zadać wam pytanie — rzekł Alcanto. — Możecie zarobić garść pięknych dukatów i to nawet nie zadając sobie wiele trudu, ani narażając się na niebezpieczeństwo.

— Byłby to bardzo dobry interes — zaśmiał się Tommaso — o cóż idzie, monsignore?

— Byłeś przyjacielem Peci'ego? wszak to prawda?

— Tak, monsignore. Ale ten przeklęty pies okpił mnie.

— Okpił was?

— O ja mu tego nigdy nie zapomnę! Mieliśmy wywołać powstanie i dożę obwołać królem, za to obiecano nam znaczną nagrodę pieniężną. No i cóż wynikło? Wywołaliśmy powstanie, Peci otrzymał pieniądze, a nam nie dał ani jednego skuda.

— A czy nie wiecie z czyjego polecenia Peci namawiał was do spiskowania?

— Tego nie wiem, monsignore.

— Możecie mi wszystko powiedzieć, Tommaso, ja umiem być wdzięczny. Oto przyobiecane dukaty.

Tommaso ujął worek i obsypując ofiarodawcę tysiącznemi zapewnieniami wdzięczności, ukrył nader starannie otrzymane pieniądze.

— Powiedzcie mi, czy nie znacie szczegółów powstania?

— Wszystkiem zajmował się Peci. On to wszystko urządził; pewnego razu mówił po pijanemu...

— Co mówił?

— Wprawdzie nie do mnie, ale świadkami byli: Pesari, Orso, Antonio, i Henriko. Obiecał nam pieniądze, jeżeli będziemy wołać: „Niech żyje król Antonio!" I pomimo tego nie dał nam nic.

— Czy mówił wam o jakiem zleceniu, otrzymanem od doży?

— Chwalił się, że posiada zaufanie jaśnie oświeconego doży. Pesari jednak wie daleko więcej odemnie — czy mam zaprowadzić was do niego?

— Chętnie skorzystam z waszej uprzejmości.

Tommaso zjednany datkami, gotów był do wszelkich ofiar. Wszedłszy na schody kościoła św. Marka, zbliżył się do jednego z żebraków i szepnął doń kilka słów, wskazując sekretarza. Pesari zdjął z głowy coś nakształt kapelusza i zbliżył się do Alcanta. Ten nie chcąc być poznanym, maską zakrył twarz.

— Odejdźcie ze mną trochę na stronę, mam z wami do pomówienia, a nie chciałbym, żeby kto słyszał naszą rozmowę — rzekł do żebraka.

Skoro się stało zgodnie z jego życzeniem, rzekł do niego:

— Tommaso mówił mi, że byliście przyjacielem Peciego.

— Tak jest, monsignore, znałem tego oszusta — rzekł żebrak. — Wiele obiecywał a nic nie dotrzymał.

— Monsignore pragnie wiedzieć, co Peci mówił do was po pijanemu — objaśnił gondoljer.

— Co on do mnie mówił? — wahając rzekł Pesari. — Co mówił? Kiedy doprawdy ja mam bardzo słabą pamięć.

— Ja pomogę waszej pamięci, ale pod warunkiem, że powiecie prawdę; że przysięgnie-cie na krucyfiks.

— Mów — rzekł Tommaso. — Nie oszczędzaj zabitego oszusta.

— Ależ powiedziałbym wszystko, gdyby nie zła pamięć.

— Cóż, spełnicie moje żądane? — zapytał Alcanto.

— Dla czegożby nie — namyślając się rzekł Pesari.

— Otrzymacie w nagrodę dwanaście dukatów. Żebrak uszom nie wierzył.

— Dwanaście dukatów, monsignore? — rzekł ujrzawszy pieniądze — dwanaście dukatów!

— No mów — namawiał Tommaso.

— Otóż Peci, będąc pijanym, mówił: podczas powstania zarobimy dużo pieniędzy, wszyscy otrzymacie hojną nagrodę, w mojem ręku spoczywa los doży. Doża jest w mojem ręku, nie wywinie się, gdyby nawet odrzucił moje wnioski.

— I cóż powiedzieliście na to? — zapytał Alcanto. — Zaufajcie mi, zapewniam was, że nie ulegniecie żadnej karze!

— Zapytałem się wierszarza, czy działa z polecenia doży. On odrzekł mi, że doża nie chce słuchać o powstaniu, ale on musi je wywołać, ponieważ przyobiecano mu hojną nagrodę. Wiem doskonale, że Peci bardzo często widywał się z hrabią Mirafiorim.

Objaśnienie to wystarczało ciekawości Alcanta.

— A zatem — rzekł — Peci działał z polecenia hrabiego.

— Rozumie się — odrzekł Pesari. — Ale podobno hrabia Wirgiljusz został osadzony w więzieniu.

Alcanto zdjął maskę.

Pesari ujrzawszy dobrze znajomą twarz, cofnął się o kilka kroków.

— Najświętsza Panno! — zawołał. — To wy... — Tak, to ja, sekretarz doży!

Tommaso ukląkł.

— Święty Marco — zawołał — nie spodziewałem się tego.

— Nie lękajcie się — rzekł Alcanto. — Nic wam nie zagraża. Żądam tylko powtórzenia zeznań wobec prokuratora z San Marco.

— Nie uczynię tego! — rzekł Pesari. — Powiedziałem prawdę: Peci był oszustem! Peci chwalił się, że doża obdarza go swojem zaufaniem. Działał z namowy hrabiego Mirafiore.

— A więc powtórzcie to w prokuratorji — rzekł Alcanto. — Zapewniam was, że włos nie spadnie wam z głowy.

— Chodźmy więc! — z rezygnacją rzekł Pesari.

Niebawem wszyscy trzej weszli do prokuratorji. Dandolo ujrzawszy ich, domyślił się o co chodzi. Alcanto objaśnił, że przyszedł z dowodami niewinności doży. Dandolo przyjął zeznania świadków. Stosownie do przyrzeczenia Alcanta, Pesari i Tommaso nie zostali uwięzieni. Dandolo nie zwlekając ani chwili, przesłał zeznania inkwizytorom państwowym.

Teraz Alcanto był zadowolony.

ROZDZIAŁ LVIII.

Ostanie godziny Jinga

Przedtem nim powrócimy do Jinga, nie od rzeczy będzie dać kilka objaśnień, będących w związku z ubiegłemi wypadkami, które mogłyby wzbudzić pewne wątpliwości w umysłach osób nie znających ówczesnych praw rzeczypospolitej weneckiej.

Ustrój rządu był nader zagadkowy, a nawet rzec można, niepodobny do zrozumienia. Doża w rzeczywistości nie posiadał najmniejszej władzy, nie mógł bez specjalnego zezwolenia porzucać Wenecji, a otrzymawszy dymisję, był najzwyczajniejszym obywatelem. Pensja składająca się z dwunastu tysięcy dukatów, stosownie do godności, była tak nieznaczną, że należało bardzo ograniczać wydatki. Otoczony urzędnikami, był śledzony nawet w swych prywatnych czynnościach i nie miał nawet prawa żądania uwolnienia. Antonio Priuli, zrzekając się tej wysokiej godności, stanowił wyjątek, popełniona bowiem względem niego niesprawiedliwość, nadawała mu wyższość nad najwyższym trybunałem. Doża powstawał z publicznych wyborów. Można było zostać wybranym, nie będąc senatorem. Naród przyjmował udział w wyborach, główną jednak siłę stanowili patrycjusze. Wielu dożów żądało nadania im pomocników, zastępców, których wybór w ten sam sposób był przeprowadzony. Często wyznaczał go sam doża. Już w połowie XIII wieku, zmuszono dożę do wykonania przysięgi, że nie będzie się starał o powiększenie swej władzy, ale że będzie postępował podług doręczonego mu programu. Dalej musiał przysiądz, że kwestje rozstrząsane podczas posiedzeń rady dziesięciu, zachowywać będzie w ścisłej tajemnicy, że w nieobecności rady nie będzie otwierał listów i depesz otrzymanych od rządów, zagranicznych, że będzie udzielał audjencji posełstwom li tylko wobec rady. Synowie jego nie mieli prawa za granicą piastować godności.

W następnym wieku zabroniono doży: wyjeżdżać z Wenecji, z własnych funduszów budować publiczne gmachy, posiadać dobra zewnątrz Wenecji i t. p. W XV wieku bardziej jeszcze ograniczono jego swobodę. Nie wolno mu było w prywatnych swoich apartamentach przyjmować posłów i dowódców weneckich wojsk. Synowie jego musieli bezwarunkowo mieszkać w Wenecji, a dalszym krewnym nie było wolno wyjeżdżać bez specjalnego pozwolenia. Małżonka doży mogła wydawać się li tylko w towarzystwie kobiet należących do jej rodziny. Po większej części dożowie byli wdowcami, na godność tę wybierano bowiem ludzi bardzo starych. Pierwszeństwo zawsze mieli wdowcy lub nieżonaci. Z tej to przyczyny, w arystokratycznych rodzinach żeniono tylko młodszych synów, stąd mnóstwo szlachetnie urodzonych dziewic było skazanych

na wieczne panieństwo. Jeżeli doża był żonaty, bracia jego i najstarszy syn mieli prawo zasiadania w senacie, ale pozbawieni byli głosu.

Czyniono wszystko, aby skrępować działanie doży. Siedząc na tronie podczas posiedzeń, audjencji udzielanych posłom i tym podobnych uroczystości, czynił wrażenie pięknie przystrojonego manekina. Zmuszony ubierać się, spędzać czas podług zgóry wydanych przepisów, był prawdziwym niewolnikiem. W pierwszych wiekach widziano nieraz dożę wiodącego do boju weneckie wojska i głowę swoją okrywającego wawrzynem zwycięstwa; Enrico Dandolo szturmował Konstantynopol. Okoliczności te wzbudziły zazdrość w członkach rady i doża został pozbawiony zaszczytu dowodzenia wojskami.

A teraz rzućmy okiem na ceremonje towarzyszące wprowadzeniu doży na tron; zdawać się mogło, że godność ta nadawała mu nieograniczoną władzę i wznosiła do potęgi. Wybranego dożę obnoszono po placu św. Marca. Powróciwszy do pałacu, na szczycie głównych schodów, w tem samem miejscu, gdzie doża Falieri został ścięty, otrzymywał książęcą koronę. Podczas koronacji oznajmiano mu, że po śmierci ciało jego w ciągu trzech dni, wystawione będzie na widok publiczny i każdy pokrzywdzony przez niego człowiek, będzie miał prawo żądać odszkodowania, które będzie wypłacone z pozostawionego spadku. W istocie po śmierci jego wybierano senatorów, których zadaniem było osądzić jego rządy, jakkolwiek w rzeczywistości dygnitarz ten pozbawiony był wszelkiej władzy. Następnie wołano spadkobierców, którzy zmuszeni byli popłacić wierzycieli (jeżeli tacy byli), nie chcąc, aby ciało było pozbawione uroczystego pogrzebu.

Wydatki doży były bardzo ograniczone. Koszta przyjęć podczas rozmaitych uroczystości, były ściśle określone. W dzień wyboru doża kazał pomiędzy ludem rozrzucać pieniądze. Suma nie mogła być mniejszą jak dwieście a większą od pięćset dukatów. Straż jego pozostawała na żołdzie rzeczypospolitej. Służba ograniczała się na koniuszym, mistrzu ceremonji, sekretarzu i pięćdziesięciu służących. Szaty składały się z purpury i brokateli. Na pozór wszystko było otoczone możliwym przepychem. Podczas publicznych uroczystości przed dożą postępowali trębacze, służący niosący zapalone woskowe pochodnie, niesiono nad nim baldachim, za nim nieśli krzesło, a paziowie trzymali w ręku kraj płaszcza; po jednej stronie szedł kapitan z oficerami, po drugiej wielki kanclerz, otoczony sekretarzami. Za nimi szedł jeden z patrycjuszów, niosący miecz książęcy, dalej signorja, rada dziesięciu, prokuratorowie i inni dostojnicy.

Rada dziesięciu składała się z doży, z sześciu jego doradców i dziesięciu członków powstałych z dorocznego wyboru, czynionego przez najwyższy trybunał. Rada dziesięciu otoczoną była jakąś przerażającą tajemniczością. W pobliżu miejsca, w którem odbywały się posiedzenia, oczekiwała galera, w każdej chwili gotowa do odpłynięcia. Koło arsenału można było widzieć galery, na których widniały litery: C. D. X., które dowodziły, że statki te należą do rady.

Rada dziesięciu rozstrzygała przeróżne kwestje państwowe, winy spełnione przez patrycjuszów i karała winnych obrazy osób zamaskowanych. Rada dziesięciu wybierała inkwizytorów. Wiedziano, że trybunał egzystuje, ale nikt nie był świadomy miejsca posiedzeń. Postępowanie trybunału było straszne; dość było najmniejszego podejrzenia, aby człowieka pozbawić życia. Machiawell opowiada, że pewnego razu, pomiędzy ludem a wojskiem wynikł spór, a następnie rozlew krwi. Jeden z oficerów przemówił i jemu udało się uśmierzyć powstanie. Najwyższy trybunał zadecydował, że człowiek posiadający podobną władzę, może być bardzo szkodliwy i nieszczęsny oficer znikł na wieki.

Pewien człowiek nazwiskiem Cornaro, podczas głodu chleb rozdawał ubogiej ludności; w miłości bliźniego upatrywano inne powody i zacnego tego człowieka zamknięto w więzieniu, z którego nigdy już nie wyszedł.

Wszyscy musieli być ślepo posłuszni najwyższemu trybunałowi.

Poseł w państwach zagranicznych prowadzi dwie korespondencje: jedna wystosowana do rządu, zawierała nader mało wiadomości, druga do trybunału, była szczerą spowiedzią.

Skoro patrycjusz jaki został zamknięty w więzieniu, trybunał nie bawiąc się w żadne szczegóły, zawiadamiał radę dziesięciu, że to i to miejsce zostało opróżnione i że należy wybrać następcę.

Jak wielką była potęga najwyższego trybunału świadczy ta okoliczność, że chociaż aresztowany należał do najznakomitszej rodziny, żaden z krewnych nie ośmielili bronić go, jakkolwiek był przeświadczony o jego niewinności. Pewien dominikanin, imieniem Antonio, przybrany w żałobę, odprowadził do galery brata swego, skazanego na wygnanie. Żałoba ta, wywołana miłością braterską, została ukaraną, za sprzeciwianie się najwyższej władzy i dominikanin został wygnany; dobrze, że na tem się tylko skończyło. Mało kto znał nazwiska inkwizytorów. Otaczali oni każdy swój krok wielką tajemniczością. Aresztowania spełniano w imieniu różnych urzędników państwowych. Zwykle aresztowano oskarżonych we własnem ich mieszkaniu i wtedy, kiedy najmniej się tego spodziewali.

Statut najwyższego trybunału, spisany ręką jednego z sędziów, ukryty był w szkatułce, znajdującej się w sali posiedzeń; klucz od niej każdy z sędziów miał u siebie przez miesiąc, po upływie tego czasu, oddawał go swemu koledze. Sekretarza wzywali w nader rzadkich, mało ważnych wypadkach; w ważniejsze sprawy nie wtajemniczali go. Rozkazy były spełniane zwykle w nocy..

W miejscach spacerowych, na placu św. Marca, w kościołach, nawet w prywatnych mieszkaniach pełno było szpiegów. Nie było miejsca w Wenecji, w którem nie można byłoby spotkać pilnego badacza, wiernego sługi trybunału. Jeżeli na kogo padło podejrzenie, każdy jego krok był śledzony. Policja podobna funkcjonowała nie tylko w Wenecji, ale i na prowincji. Służba ta kosztowała rocznie rzeczpospolitą 200.000 dukatów. Poważna ta suma tłumaczy, dla czego tak często spełniano niesprawiedliwe aresztowania; szpieg, żądny nagrody, w braku prawdziwej winy, stwarzał ją w swojej wyobraźni. Szpiegami byli ludzie różnych wyznań i różnego stanu: szlachta, rybacy, gondoljerzy, żydzi i t. d. Pomimo tego wszystkiego, Wenecja czyniła wrażenie miasta spokojnego i wolnego od wszelkich trosk. Tysiące gondol pływało spokojnie po kanałach; przepyszne maskarady sławne były na całym świecie, dla lada przyczyny odbywały się wspaniałe uroczystości; dopiero bliżej przypatrzywszy się mieszkańcom, dokładniej wejrzawszy w ich życie, można było spostrzedz skrępowanie, powodowane strachem, jaki rozsiewał tajny trybunał.

— — — — — — —

A teraz zajrzyjmy do jednej z cel więziennych, w której zamknięto Jinga Foscarego. Powróciwszy od trupa Stefany, roześmiał się z pogardą.

— Sądzisz, że jestem zgubiony — zawołał zwracając się do strażnika. — Oni sądzą, że już wszystko stracone. Zapominają, że ja żyję jeszcze.

Strażnik nie mógł pojąć, jakim sposobem tak potężny senator, tak olbrzymio bogaty hrabia, został nagle odarty z wszelkiej władzy.. Sądził, że więzienie to jest chwilowe i że Jingo powróci niebawem do dawnej potęgi.

— Monsignore — rzekł, klękając. — Nie uważajcie mi za winę, że spełniam swój obowiązek.

— Byłbyś wielkim głupcem, gdybyś sądził, że położono kres moim rządom — rzekł Jingo. — Biada moim wrogom.

— Ja nie jestem waszym wrogiem, monsignore — zapewniał strażnik.

— Będę umiał wynagrodzić tych, którzy pozostali mi wierni — rzekł Jingo. — Czy chcesz być bogatym? Jestem olbrzymio bogaty i po królewsku nagrodzę wyświadczoną mi przysługę.

— Co mam czynić, monsignore?

— Na noc nie zamkniesz drzwi mojej celi. Rozkazuję ci to.

— Zewnątrz stoją posterunki, monsignore.

— Mniejsza o to. Muszę wydostać się z tego więzienia i ukarać wrogów. Wyprowadzisz zbirów do bocznego korytarza. Resztę mnie zostaw.

— Monsignore, tu chodzi o moje życie...

— Ja cię obronię. Wolny odzyskam władzę i nagrodzę wiernego sługę.

— Święty Marcu! — szepnął strażnik. — Co czynić?

— Będziesz bogaty, jeżeli spełnisz mój rozkaz. Nie będziesz żałował swego poświęcenia. Ale ostrzegam: biada ci, jeżeli nie spełnisz rozkazu.

— Spełnię go, monsignore — drżącym głosem rzekł strażnik.

— A więc nie zamykaj drzwi. Teraz możesz odejść.

Strażnik wyszedł z celi. w swojem przekonaniu miał do spełnienia bardzo trudny wybór. Pomoc w ucieczce narażała go na niebezpieczeństwo, odmowa mogła ściągnąć fatalne następstwa; strażnik nie wierzył w upadek potęgi Jinga.

— Wiem, że spełnisz polecenie — rzekł po wyjściu strażnika. — Nieomylny to znak, że władza moja nie została jeszcze zniszczoną. Jeszcze nie wszystko stracone. Jeżeli zdołam wydostać się z więzienia, a potem z Wenecji, zemszczę się bezlitośnie. Żyję! A dopóki żyję, drżyjcie wszyscy. Na morzu krążą okręty piratów, załogi ich przyjmą mnie z otwartemi rękoma, a ja stanę na czele mężnych oddziałów. A wtedy, drżyj Wenecjo. Wszystko rozstrzygnie się dzisiejszej nocy!

Jingo z niecierpliwością oczekiwał naznaczonej godziny. Z nadejściem zmroku usłyszał rozmowę. To strażnik mówił coś do zbirów, stojących na posterunkach. Jingo roześmiał się. Za chwilę usłyszał odgłos oddalających się kroków. Cisza panowała na korytarzu. Nadeszła stanowcza chwila. Jingo porwał leżące na łóżku prześcieradło i okrył się niem od stóp do głowy. Znów uśmiech przebiegł po jego ustach: postanowił zużytkować zababon zbirów, wierzących w prawdziwość widma, które ukazywało się w więzieniu. Zresztą Jingo nie miał nic do stracenia a mógł jeszcze coś zyskać. Przystąpił do drzwi i nacisnął klamkę. Nie były one zaryglowane. Wyszedł na korytarz. Żołnierze odeszli. Z bocznego korytarza było słychać dźwięk kubków. Jingo doszedł do wąskiego bocznego korytarza; nie było tam ani jednego zbira. Nie wahając się ani chwili, wbiegł w tę wąską odnogę. Znał dobrze więzienie; wtajemniczony we wszystkie zakątki tego labiryntu. Jeżeli zdoła dojść do następnego korytarza, będzie ocalony. Jingo wiedział, że na krańcu znajdują się drzwi wiodące do domku wyławiacza trupów.

Nagle usłyszał odgłos kroków straży, przechodzącej przez główny korytarz. Co to znaczyło? Może żołnierze idą do jego celi? Może polecono im tej jeszcze nocy wykonać wyrok? Stał chwilę i słuchał. Nie było wątpliwości; straż weszła do jego celi. Teraz nie miał sekundy do stracenia. Jingo przebiegł korytarz, stąd po wilgotnych schodach zbiegł w ciemne wąskie przejście. Dobiegł do drzwi i szybko je otworzył.

W sklepnionym domku, którego zewnętrzne drzwi były otwarte, stał wyławiacz trupów.

— Oho, co to znaczy? — zawołał ujrzawszy postać. — Któż wy jesteście? Czego chcecie?

Jingo usiłował odepchnąć Jacopa. Ten jednak rzucił się na niego i uchwycił prześcieradło. Nagle zobaczył twarz Jinga i odskoczył przerażony. Ten wybiegł z domku. W więzieniu rozlegał się dźwięk trąb. Jacopo pobiegł za Jingiem. Do domku zbliżał się patrol.

— Trzymajcie go! — zawołał Jacopo.

W jednej chwili Jingo został otoczony.

Kapitan Peronini, otrzymawszy rozkaz przewiezienia zbrodniarza na jedną z państwowych galer, udał się ze strażą do jego celi. Ku wielkiemu swemu przerażeniu zastał ją pustą. Natychmiast rozkazał przyprowadzić do siebie zbirów i strażnika, którzy zeszli ze swoich stanowisk. Nie żądając tłomaczenia, rozkazał zamknąć ich w najgłębszym lochu, sam zaś przetrząsał wszystkie zakątki więzienia. Po chwili do więzienia wszedł patrol wiodący więźnia. Jacopo zdał sprawę z całego wypadku. Peronini nie posiadał się z radości i podczas kiedy krępowano zbrodniarza, on wychwalał męstwo starca i obiecywał mu hojną nagrodę.

— Niejednokrotnie złożyliście dowody odwagi i wierności — mówił kapitan — admirał Capello bardzo was chwalił. Ja poproszę radę dziesięciu, aby dała wam zaszczytniejsze i korzystniejsze zajęcie.

Jacopo przejęty niekłamaną radością, dziękował kapitanowi.

Teraz wyprowadzono Jinga z więzienia. Przy schodkach placyku Piazetta oczekiwała gondola kapitana. Do niej zawleczono Jinga, śmiejącego się jak człowiek pozbawiony zmysłów, zresztą zbrodniarz czynił wrażenie szaleńca. Widok jego był odrażający. Włosy zakrywały niskie czoło. Oczy jego rzucały płomienie, twarz sina z nadmiaru rozpaczy, ubranie jego poszarpane. Będąc już w gondoli dokładał wszelkich starań, aby porozrywać krępujące go więzy i wskoczyć do wody. Nagle zębami uchwycił dłoń jednego z żołnierzy, ten jednak nie tracąc przytomności uderzył go w głowę kolbą od muszkietu. Cios go ogłuszył i uspokoił zarazem. Upadł na dno gondoli. Kapitan odwrócił się z obrzydzeniem, nie mógł znieść podobnego widoku, jakkolwiek jako oficer był bardzo zahartowany.

Zbliżała się godzina wykonania wyroku. Gondola o północy przybyła do arsenału. Na galerze oznaczonej literami C. D. X. gorzały pochodnie. Do gondoli zbliżyła się łódka.

— Kto tam? — zapytał płynący w niej człowiek.

— Kapitan ze skazanym — odrzekł Peronini.

Gondola bez przeszkody przybyła do galery. Jingo ocknął się z omdlenia. Usta jego były pokryte pianą. Klął straszliwie. Na pokładzie

galery stał Daponte, Contarini i Capello. Oprócz wymienionych znajdowali się prokuratorowie, mający być świadkami wykonania wyroku. Kapitan wszedł na pokład i zawiadomił obecnych o przybyciu skazanego.

— Co znaczą te krzyki, podobne raczej do ryku rozszalałego zwierza? — zapytał Daponte.

— Skazany w ten sposób wyraża swoją rozpacz — objaśnił Peronini. — Zdaje mi się, że oszalał.

Obecni uczuli, że Bóg już zaczął karać zbrodniarza.

Cały pokład oświetlony był płonącemi pochodniami.

Kapitan wydawał rozkazy.

Niebawem żołnierze wnieśli skrępowanego Jinga.

Contarini odwrócił się z odrazą.

Na twarzy Dapontego nie drgnął ani jeden muskuł.

Prokurator z San Marco zbliżył się do leżącego Jinga, który nań patrzał osłupiałym wzrokiem.

— Kapitanie! — rzekł donośnym głosem. — W imieniu rzeczypospolitej oddaję wam Jinga Foscarego, skazanego na śmierć. Spełnijcie to, co nakazuje prawo!

Jingo zrozumiał o co chodzi.

— Przekleństwo wam wszystkim! — zaryczał dobywając sił ostatka. — Niechaj połop zagładzi galerę, Wenecję, was wszystkich. Ognie piekielne parzą mnie... ha, ha, ha... widzicie płomienie... zbliżają się... porywają wszystko... wszystko... zbliżają się czarne chmury... to ptaki krwiożercze... Wirgiljo Mirafiore... Brabantino... stary Andrea... Stefana... wszyscy lecą do mnie... usiłują mnie pochwycić...

Daponte skinął na kapitana.

— Spełniajcie wyrok! — zawołał.

Dwaj żołnierze uchwycili Jinga i przywiązali go do deski. Głos jego stawał się coraz słabszy... Żołnierze koło jego szyi zaciągnęli postronek.

Rozległo się chrapanie... Jingo konał. Wtedy żołnierze uchwycili deskę i wrzucili ją w morze.

Rozległ się plusk wody.

Kapitan zbliżył się do prokuratora z San Marco i zawiadomił go, że wyrok został spełniony.

Wówczas wszyscy dignitarze zeszli z pokładu zajęli miejsca w swoich gondolach i popłynęli do miasta.

Jingo odebrał tu, na ziemi, karę za swoje zbrodnie. Pochodnie zgasły. Wkrótce zapanowała zupełna cisza. Stało się zadość sprawiedliwości ludzkiej. Winny stał teraz przed tronem Boga i w niemem przerażeniu oczekiwał jego wyroków.

— — — — — — — —

Antonio Priuli powróciwszy do pałacu, zdał urząd Contariniemu, nowowybranemu, sam bowiem pragnął w spokoju spędzić resztę swojego życia.

Wielkim inkwizytorem został Daponte, oprócz niego w czarnej sali zasiadali odtąd szlachetni Memmo i Donato. Erizzo, długoletni przyjaciel Contariniego, został mianowany jego doradcą.

Do pałacu Mirafiore zawitało szczęście i długo oczekiwany spokój. Antonio Priuli i hrabia Mirafiore, dwaj przyjaciele, całą młodość strawili na oddawaniu usług swojej ojczyźnie; teraz im się należy zasłużony spoczynek.

Edyta i Rodrigo otrzymali błogosławieństwo starca i dziękowali Bogu, że jakkolwiek długo ich doświadczał, nagrodził cierpliwość i poddanie się jego wyrokom.

Naród po cichu nazywał Edytę, zawsze litościwą dla biednych — „Królową nocy". Imieniem tem nazywali ją po cichu, wielu bowiem nie mogło zapomnieć czynów, jakie ona spełniała i łaknęło zemsty.

Hrabia Mirafiore często mówił, otoczony swoimi przyjaciółmi:

— A więc ty byłaś królową nocy. Szlachetna walka dodaje siły i odwagi. Wiele wycierpiałaś w swojem krótkiem życiu, ale z cierpliwością i męstwem przedarłaś się wraz z Rodrigiem przez nieprzejrzane ciemności i ujrzałaś światło. Niechaj Bóg błogosławi wam, ukochane moje dzieci. Wiemy teraz czego może dokazać wielka potęga miłości. Spełnijmy puhary na cześć prawdziwej miłości i Królowej nocy.

— KONIEC —

HUMOR

Pytanie

W cukierni przy stoliku siedzi kilka osób. Ktoś czyta na głos gazetę.

— W stanie Michigan osadzono w więzieniu niejakiego Johna Falka za poślubienie czterech żon....

— Przepraszam — przerywa jeden z obecnych — czy za karę, czy na odpoczynek?...

Trzy życzenia

Spytał raz ktoś bawarczyka, jakieby miał trzy życzenia, gdyby wiedział, że się spełnią. Ten odparł:

— Naprzód chciałbym mieć tyle piwa, ilebym mógł wypić.

— A drugie życzenie?

— Chciałbym mieć tyle wołowiny, ilebym mógł tylko zjeść.

— No, a trzecie życzenie?

— Trzecie? Chciałbym jeszcze kufel piwa.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł. 2,85. Pod opaską miesięcznie zł. 1,50, kwartalnie zł. 4,50 Zagranicą 1,50 zł miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8.
Telefon 32.

Rękopisów nie zwraca się.
P. K. O Nr. 207.393.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str. 225,- zł i td. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50% zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50%. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca ALFRED KSYCKI — Redaktor odpowiedzialny MARJA ZEMMLERÓWNA — Drukarnia L. KSYCKIEGO w Żninie.